Nr. 3. Poznań, dnia 19-go stycznia 1913. Rok XVII.

PRACA

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38

Telefon Nr. 397.

OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Stefania Tuchołkowa.

Przyczyny powstania styczniowego.

W nocy z dnia 22—23 stycznia r. 1913 wybije na zegarze dziejowym półwiekowa rocznica dnia, w którym naród polski pod zaborem rosyjskim pochwycił za broń, by wydobyć się z pod jarzma wroga i odzyskać polityczną niepodległość. Ułudna postawa Anglii i Francyi, ich gorące dla Polski współczucie, które jednak na zawsze w platonicznej miało pozostać formie, jak zwodnicza fatamorgana złudziły nieszczęsny naród, liczący na zbrojną pomoc mocarstw ościennych.

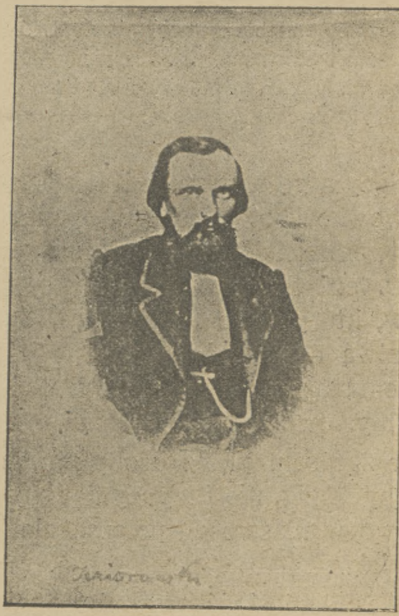
Po bezskutecznych, choć bohaterskich wysiłkach powstanie upadło, upaść musiało — jak bańki mydlane znikły zwodnicze blaski chwili.

I wtedy to, naród zgnębiony, zrozpaczony postawił organizatorów i działaczy powstania pod moralnym pręgierzem, zwalając na nich winę za wszelkie klęski, jakie wynikły z pogromu, za strugi krwi bezowocnie przelane.

I też zbrojny wybuch był wówczas krokiem nieopatrznym, lecz, że powstanie upadło, to nie wynika z tego jeszcze, by na ludzi, którzy powstanie wywołali, rzucić bezwzględnie kamieniem potępienia.

Jak powiada Śniadecki w żywocie Hugona Kołłątaja: „Rewolucya krajowa jest jak owa bajeczna u poetów Cyrce, która swoich dowódców przerabia na burzycielów porządku, gdy się nie uda — albo w bohaterów i zbawców, gdy swego dopnie!“

Gdyby ościenne mocarstwa były przyszły z pomocą toczącemu rozpaczliwą walkę narodowi, innym zupełnie byłby wynik walki, a wtedy byłby naród uważał organizatorów i działaczy powstania za „zbawców ojczyzny“. —



Generał Jeziorański,
dzielny dowódzca powstańców w 1863 r., pobił między innymi Moskali pod Kobylanką nad galicyjską granicą dnia 1-go maja. Moskale utracili 60 zabitych i rannych, Polacy o wiele mniejszą liczbę. Dnia 6-go maja stoczono pod Kobylanką drugą bitwę, jeszcze więcej zaciętą i pobito Moskali.

Że się tak nie stało, więc własne społeczeństwo wydało na nich wyrok potępienia.

Potępić jednak pokonanych, to jeszcze nie dowodzi sądzić rozumnie i mieć wyższy pogląd.

Z każdą rewolucyą, względnie z każdem powstaniem zbrojnem, ma się tak samo jak z poszczególnym człowiekiem, na którego fizyczny i umysłowy rozwój wpływają przed jego jeszcze urodzeniem różne wypadki zewnętrzne, oraz wewnętrzne wrażenia, targające łonem, jakie go na świat ma wydać.

Tak samo, chcąc bezstronnie osądzić krwawe wypadki r. 1863-go, które bezwarunkowo popchnęły naród na dno niedoli, należy zastanowić się naprzód nad politycznemi wypadkami zewnętrznemi, oraz nad wewnętrznemi uczuciami i wrażeniami, jakie targały zbiorowem łonem społeczeństwa polskiego, w którem zwolna, niepostrzeżenie tworzył się i dojrzewał krwawy embryon rewolucyi. Dopiero potęgą wspomnienia z półwiekowego pyłu przeszłości odgrzebane, przez pryzmat oddalenia bezstronnie osądzone przedstawią się nam owe krwawe wypadki we właściwem świetle.

Za panowania tyrana Mikołaja I-go, który żelazną stopą deptał piersi uciśnionego narodu, ponura pomroka niedoli roztaczała się na widnokręgu polskim.

Więc też gdy d. 2-go marca Mikołaj I. zamknął powieki na zawsze, a w rok po nim i prawa ręka jego, okrutny Paszkiewicz, namiestnik Królestwa Polskiego, umarł na zamku warszawskim,



Pułkownik Marcin Borelowski, znany pod nazwą Lelewela,
był rzemieślnikiem. Zebrawszy mały oddział, udał się na Podlasie, a później w Lubelskie. Dnia 24-go marca stoczył zaciętą bitwę pod Krasnobrodem. Tu pewien kosynier, otoczony przez kilku żołnierzy moskiewskich, położył ich sześciu trupem, a w tem cięty pałaszem w głowę, pada na ziemię. Po chwili jednakże, choć śmiertenie ranny, zrywa się, zabija jeszcze siódmego Moskala, aż przebity bagnetami, ginie dzielny wojownik. Lelewel mianowany za męztwo pułkownikiem, zginął pod Batorzem dnia 6-go września 1863 r.

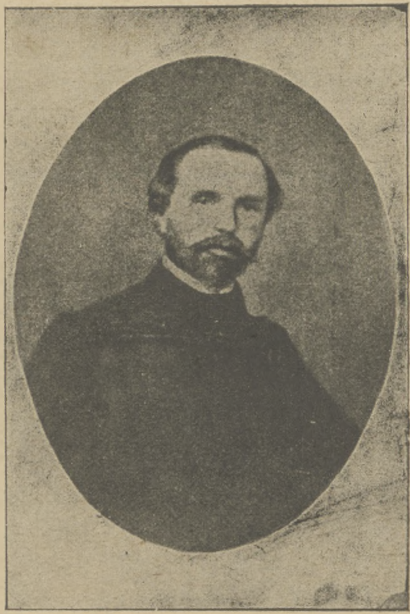


Rotmistrz Pieniążek,
dowódzca ułanów generała Edmunda Taczanowskiego, dzielny żołnierz, był postrachem Moskali i dał im się nieraz dobrze we znaki.

zdało się nieszczęsnemu narodowi, że zesunęła się ciężka zmora, tłocząca mu piersi.

Młody, na tron samowładzców rosyjskich wstępujący car Aleksander II, był mężem liberalnych przekonań i szlachetnych porywów, więc serca Polaków zabiły tętnem nadziei, a oczy ich zwróciły się ku nowemu carowi, wyglądając rychłoli świt przyszłości lepszej zapłonie na horyzoncie polskim.

W nadziejach tych zdawała się jeszcze utwierdzać Polaków nominacya na namiestnika Królestwa jenerała Gorczakowa, człowieka uczciwego i przychylnego Polakom, a który mimo to najmniej miał może danych po temu, by zgrzybiałą, drżącą dłonią pomyślnie kierować nawą państwową wśród wzburzonych fal politycznych. Powołanie nienawistnego Muchanowa na ministra spraw wewnętrznych i kuratora okręgu naukowego było pierwszym zgubnym dla kraju krokiem nowomianowanego namiestnika, który łatwo podlegał



Kazimierz Mielęcki,
jeden z najdzielniejszych dowódzców powstania, bił się mężnie pod Izbicą, Mieczownicą, Lądkiem, Kazimierzem i Ślesinem. Ciężko ranny udał się do Księztwa, gdzie w Mamliczu pod Barcinem zakończył życie dnia 10-go lipca 1863 roku.

otaczającym go wpływom i dał się Muchanowowi wkrótce całkiem opanować. Królestwem Polskiem rządził niby Gorczakow, lecz Gorczakowem rządził Muchanow, który o ile tylko mógł, tłumił prawdziwą oświatę. Szkoły pod jego zarządem stawały się przybytkiem ciemnoty umysłowej i demoralizacyi.

Car zaś sam prócz drobnych, mało znaczących ulg, nie przyczyniał się początkowo w niczem do polepszenia bytu Polaków.

Nawet doniosłość wspaniałomyślnie przez niego udzielonej amnestyi emigrantom, oraz skazańcom sybirskim z r. 1831-go, umniejszył i jej znaczenie zniweczył przez małoduszny ukaz o amnestyi, który kłamliwie opiewał, że emigracya polska podawała do rządu rosyjskiego liczne prośby o dozwolenie powrotu do kraju „z wynurzeniem żalu za chwilowe obłąkanie".

Skutkiem tego z wybitniejszych członków emigracyi mało kto wrócił do kraju. Stronnictwo zaś Czartoryskich odrzuciło amnestyę w akcie publicznym, nie chcąc w obliczu świata uznać miłości swej do ojczyzny i w imię tej miłości prowadzonych walk krwawych za „chwilowe obłąkanie".



Porucznik Witold Turno,
brat p. Hipolita Turno z Objezierza, poległ dnia 8-go maja 1863 roku w bitwie pod Ignacewem.

Z wygnańców sybirskich wracali przeważnie ludzie bez znaczenia, słabszych charakterów ,lub tacy, których nostalgia za ziemią rodzinną tak zżarła,



Henryka Pustowojtówna.
W ruchu powstańczym 1863 r. brały niezwykły udział kobiety. Najwięcej wsławiła się z niewiast w powstaniu Henryka Pustowojtówna, której ojciec był Rosyaninem, a matka Polką; choć wychowana w religii prawosławnej, była duszą i sercem polską patryotką. Walczyła w szeregach powstańczych pod dowództwem Czachowskiego; odznaczyła się takiem męstwem, jak rzadko który żołnierz i szła śmiało wśród gradu kul na nieprzyjaciela; zachowanie jej w obozie było wzorowe.

że nie mogli oprzeć się pokusie, by z udzielonej im, choć w obraźliwej formie, amnestyi skorzystać.

Wracali gnani tęsknotą, niejeden rzucając zyskowne na wygnaniu zajęcie, by tylko wrócić do tej upragnionej ojczyzny, o której w długie noce wygnania śnili, ale na progu ojczystym czekała na nich ta najohydniejsza ze wszystkich jędz na świecie—nędza, której ofiarność współziomków mimo najszczerszych chęci ze wszystkiem zapobiedz nie mogła. W sercach tych powracających, a za ziemią rodzinną stęsknionych wygnańców budzić się więc zaczęła niechęć i nienawiść do tego nieprzyjacielskiego rządu, który ich najpierw z ziemi rodzinnej wygnał, a potem pozwalając niby wspaniałomyślnie na ich powrót, nie pomyślał o ich losie i tak opłakane warunki bytu na nich sprowadził.

Tak pierwszy zaczyn niezadowolenia fermentować zaczął w umysłach, a z biegiem czasu i wypadków ferment ten się wzmagał. Oburzająca gwałtem i ohydą sprawa dernowicka oraz pawłowska obraziła też uczucia religijne ludności unickiej.

Otóż Dernowiczanie i mieszkańcy wsi Pawłowa, którzy przed laty r. 1842 przemocą zaliczeni zostali do prawosławnych, ufając szlachetności i liberalności nowego cara, wysłali do niego prośbę, by pozwolił im wrócić do wiary ojców. Za podanie tej prośby byli bici w okrutny sposób rózgami. Ojców zaś rodzin dernowickich posłano przymusowo w głąb Rosyi do prawosławnych monastyrów, by się tam we wierze państwowej umocnili.

Taki sam los spotkał jeszcze i kilka innych miejscowości unickich.

Echo wypadków tych rozebrzmiało po całym kraju i musiało wzbudzić nieufność do monarchy, który liberalne idee głosił słowami, a dozwalał na spełnianie tak barbarzyskich czynów.

Zaczyn niezadowolenia złączony teraz z zaczynem nieufności coraz silniej w umysłach w idee rewolucyjne, które jak choroba zakaźna, z łatwością na coraz szersze kręgi społeczeństwa rozszerzać się miały w niedalekiej przyszłości.

Teraz jednak o zbrojnem powstaniu nikt nie myślał. Łudzono się jeszcze, oczekiwano zmian na lepsze, licząc wciąż na to, że liberalny car powoli z wpływów otaczających go czynowników się otrząśnie; tem więcej, że Rosyi osłabionej niedawnym upływem krwi pod murami Sewastopola powinno było zależeć na zjednaniu sobie Polaków.

Że się tak nie stało, przyczynił się



Fot. „Camera“ Z. Śniegocki w Poznaniu.

Grupa wodzów i wybitnych działaczy powstania styczniowego.

Pierwszy rząd od góry od lewej ku prawej stronie: Lejars, Francuz. Edmund Callier, jako młodzieniec. Emilia Szczaniecka, dzielna Polka, pielęgniarka chorych.

Rząd środkowy: Maryan Langiewicz, dyktator. Ludwik Mierosławski. Franciszek Dobrowolski, naczelny redaktor „Dziennika Poznańskiego“. Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż).

Rząd trzeci od dołu: Karol Libelt. Włodek, dowódzca. L. Joung de Blankenheim, dowódzca.

do tego w znacznej mierze rząd pruski, któremu na tem zależało, by nowy car nie zjednał sobie Polaków i nie dopuścił do żadnych ustępstw politycznych.

W końcu lipca r. 1858-go rozrzucono w Poznaniu między ludność proklamacyę, datującą niby to z Londynu, a wzywającą Polaków do powstania przeciw Rosyi.

Poseł pleszewski do sejmu pruskiego Niegolewski, zebrał wówczas różne dane, z których okazało się, że proklamacye te drukowane były u księgarza Deckera i Spółki w Poznaniu na rozkaz Baerensprunga, naczelnika policyi poznańskiej. Bardzo wiele egzemplarzy tej proklamacyi wysłał Baerensprung do Rosyi, a aż 20 takowych otrzymał naczelnik policyi w Warszawie, margrabia Palucci.

Na interpelacyę Niegolewskiego w sejmie tłomaczył się Baerensprung tem, że pochwyciwszy przypadkowo egzemplarz tej rzekomo londyńskiej proklamacyi, kazał ją tylko dlatego przedrukować, by władze pruskie wiedziały, co się święci i żeby ludność niemiecką przestrzedz przed niebezpieczeństwem, jakieby w danym razie i Niemcom grozić mogło ze strony zrewolucyonizowanych Polaków.

Niedosyć na tem, bo i później nadchodziły ciągle do sfer rządowych rosyjskich od władz pruskich niby to przyjazne ostrzeżenia, że się zanosi na powstanie; wzbudziło to nieufność i represyę rządu wobec Polaków, którzy wówczas nie myśleli jeszcze o powstaniu. Represye rządowe musiały wówczas ch[illegible]zyć i wywołać wręcz przeciwny skutek, to jest właśnie podsunąć



Fot. „Camera“ Z. Śniegocki w Poznaniu.

Weterani z 1863/4 roku mieszkający w Poznaniu.

Pierwszy rząd stojących z lewej ku prawej stronie: Józef Urbański. Ignacy Borowski. Michał Nowicki. Paweł Heynat. Stanisław Wiśniewski. Melchior Falkowski. Bronisł. Leitgeber. Paweł Ślebioda (Syberyjczyk). Maciejewski.

2-gi rząd: Andrzej Banaszkiewicz. Stan. Kryśkiewicz. Jakób Hampel. Wacław Antoniewicz. Stanisław Algusiewicz. Ludwik Dobrowolski. Leon Całka. Franciszek Łuczyński. Teodor Redmer. Jan Mikołajczak.

Siedzący: Antoni Górski. Stanisław Wiśniewski. Józef Obrębowicz. Walenty Wewiórowski Stanisław Królikiewicz. Jakób Szmytkowski. Onufry Przybyłowicz. Adryan Wiczyński.

myśl o możliwości powstania, którego rząd rosyjski widocznie się obawiał.

Gdy do tego w maju r. 1859 wybuchła wojna włosko-austryacka, w której i Francya udział wzięła, gdy lud włoski zrzucił gniotące go jarzmo austryackie, a Garibaldi z garstką straceńców dążąc do Neapolu, znaczył swe ślady odniesionemi zwycięstwami, to wtedy zdało się, jakoby tchnienie swobody i nad polską powiewało ziemią. Wszakżeż Garibaldi zamierzał utworzyć polski legion zagraniczny pod wodzą Mierosławskiego,a chociaż zamiar ten nie doszedł do skutku, zaświecił jednak złudnym mirażem przed oczyma uciśnionego, a rycerskiego narodu.

Jeźli Garibaldi na czele garści straceńców cudów istnych dokonać zdołał, to zdawać się mogło współczesnym, że nie ma zapór, nie ma przeszkód, któreby stawić mogły tamę ludom, dążącym do niepodległości.

Wtedy to zadęły pierwsze podmuchy przyszłej burzy politycznej, jaka miała gromem zniszczenia w podstawy bytu narodowego uderzyć. Wzburzony już stan umysłów zaogniła sprawa natury czysto socyalnej, ekonomicznej — sprawa włościańska.

To martwe morze chłopskie, wśród ciężkiej pracy i ucisku drzemiące od wieków letargicznym snem duszy i myśli poruszać się i falować zaczynało. — Projekt uwłaszczenia zbudził śpiące w duszach chłopskich pożądanie posiadania na własność tej ziemi, którą od wieków krwawym potem swym użyzniali. Tym zaś, którzy w krwawej walce o niepodległość ojczyzny zamyślali, wydała się sprawa uwłaszczenia pożądaną i mogącą zjednać lud dla ruchu zbrojnego. Sądzili, że „dłoń chłopska uzbrojona w kosę racławicką“ oswobodzi Polskę i dlatego projekt uwłaszczenia włościan znalazł i w Królestwie samem i na Litwie gorące u szlachty poparcie. Przeciw uwłaszczeniu oświadczyło się tylko niewiele zacofanych i samolubnych jednostek, przekładających osobiste, materyalne korzyści nad dobro ogółu.

Na Wołyniu i na Białorusi jednak część szlachty nie rozumiała doniosłości tej reformy, nie pojmowała, że uwłaszczenie chłopa jest już koniecznością dziejową. Ten zaś za mało miał oświaty i wyrobionego sądu, by ucisk, jakiego od jednostek doznawał, przypisać tylko owym jednostkom, lecz winę przypisywał całej szlachcie.

Skutkiem tego przepaść moralna, dzieląca od wieków dwór od chaty coraz się więcej pogłębiała, jakoby szlachta polska a lud polski dwie odrębne narodowości tworzyły.

Lud szeptał sobie na ucho, że „cysorz“ chciał włościan uwłaszczyć, ale szlachta nie chce do tego dopuścić. Dlatego lud też nie pragnął zrzucenia jarzma rosyjskiego, bo mętne pogłoski, jakie do uszu ludu o uwłaszczeniu doszły, wzbudziły w nim do szlachty jeszcze większą niechęć, a nawet wprost nienawiść, która dzieliła dzieci jednej matki, brać młodszą od braci starszej w narodzie.

Tak miała Nemezis dziejowa pomścić krzywdy kmiotka odwieczne.

Horyzont polityczny się zaciemniał, burza ciężarna gromami klęsk wisiała już w powietrzu!

Takim był stan umysłów, gdy naraz jesienią r. 1860 rozbiegła się wieść, że car Aleksander II. przybywa do Warszawy, gdzie miał się zjechać z ówczesnym rejentem pruskim, a późniejszym cesarzem Niemiec, Wilhelmem I., wraz z cesarzem austryackim, Franciszkiem Józefem. Taki zjazd trzech zaborców, jakby naumyślnie w dawniejszej stolicy rozebranej Polski, wyglądał na rozmyślną prowokacyę nieszczęsnego narodu. To też nikt ż Polaków, prócz podłej ulicznej gawiedzi, nie pokazał się na mieście przez cały czas obecności trzech zaborców w Warszawie; a w teatrze niewyśledzeni sprawcy polali aksamit w loży cesarskiej kwasem siarczanym, cały zaś teatr rozlaniem płynnej asafetydy napełnili nieznośną wonią. Zdołano wprawdzie przybić w loży świeży aksamit i woń nieznośną usunąć z teatru, ale wieść o tem doszła do uszu cara i oburzyła go na tych „niepoprawnych Polaków“, pogłębiając niechęć wzajemną.

A tymczasem wrzenie umysłów z dniem każdym wzrastało i znajdowało ujście w publicznych manifestacyach i ostentancyjnie noszonej żałobie narodowej. Do pierwszej manifestacyi, która zresztą spokojny miała przebieg, przyszło na pogrzebie jenerałowej Sowińskiej, na cmentarzu wolskim.

Od tego czasu rozruchy i manifestacye uliczne stały na porządku dziennym

D. 25-go lutego r. 1861 urządzono wielką manifestacyę na Starem Mieście, gdzie przyszło do starć z policyą, lecz tym razem obyło się bez ofiar, byli tylko lekko ranni.

W parę dni potem w kościele księży Karmelitów na Lesznie gromadzącemu się tłumowi zastąpił drogę oddział Kozaków, bijąc nahajkami. Tłum odpowiedział pociskami kamieni, gruzu i cegieł. Na Krakowskiem Przedmieściu zagrodził drogę tłumowi oddział wojska pod wodzą jenerała Zabołockiego, który zawezwał tłum do rozejścia się. Nie posłuchano go, wtedy zagroził, że każe żołnierzom strzelać i groźbę też spełnił. Ofiarą padło pięciu poległych na miescu, rannych zaś było mnóstwo.

To strzelanie do bezbronnego ludu oburzyło wszystkich do żywego.

Społeczeństwo polskie, wykarmione wówczas duchowo na entuzyastycznej literaturze emigracyjnej i poezyi naszych wielkich romantyków, wierzyło

w to, że Polska jest Chrystusem narodów i musi spełnić swe wielkie posłannictwo dziejowe.

Prąd rewolucyjny ogarniał coraz silniej nietylko społeczeństwo polskie, ale i żydów, którzy nazywać się zaczęli „Polakami mojżeszowego wyznania“ i brali udział w manifestacyach.

Pogrzeb pięciu poległych ofiar odbył się d. 2-go marca, a był wielką manifestacyą narodową, w której udział brało nietylko duchowieństwo katolickie, ale i superintendent protestancki i kalwiński, oraz nadrabin i rabin żydowski. Nieprzeliczone tłumy odprowadziły zwłoki na wieczny spoczynek na Powązki, ale spokój nie został zakłóconym.

W oktawę pogrzebu tegoż urządzono po kościołach katolickich i luterskich, oraz w synagogach żydowskich nabożeństwa żałobne, przybierające cechę polityczną.

W kraju wrzało, jak w garnku z ukropem.

Muchanow, by wrzenie to przytłumić, postanowił użyć podstępnego, nikczemnego środka i wyzyskując fakt, że lud polski nie był wtenczas dostępnym dla idei narodowej, chciał właśnie w tym ludzie zyskać sobie sprzymierzeńca przeciw zrewolucyonizowanej szlachcie. Wydał zatem do naczelników powiatowych i sołtysów wiejskich cyrkularz z poleceniem powiadomienia o tem chłopów, że „rząd starając się szczególnie o ich dobro, oczekuje, że oni nietylko nie będą słuchali poduszczeń do rozruchów, ale nawet każdego burzyciela będą zatrzymywali i odstawiali do najbliższej władzy.“

Było to wyraźnem podszczuwaniem chłopów przeciwko dworowi.

Wieść o tym okólniku Muchanowa oburzyła społeczeństwo do szpiku kości i rząd ujrzał się zniewolonym do odwołania Muchanowa z zajmowanego przez niego urzędu.

Teraz dopiero pomyślano w Petersburgu na seryo o zaprowadzeniu reform w Królestwie Polskiem i o nadaniu różnych ulg krajowi, lecz było to już niestety zapóźno.

Jak żadna siła ludzka, żadna potęga powstrzymać nie może gorejącego wulkanu i stawić tamy wybuchającemu zeń potokowi lawy; tak nic już nie mogło powstrzymać biegu wypadków, w niczyjej nie leżało to już mocy, by uspokoić wzburzone i rozegzaltowane umysły.

Tak nazwane stronnictwo „Czerwonych“, dążące do zbrojnego wybuchu, coraz więcej zjednywało sobie zwolenników i nawet najdalej idące ustępstwa polityczne i reformy wewnętrzne nie mogły już teraz ludności zaspokoić. Jeden tylko istniał cel dla „czerwonych“, jedno pragnienie, którego uwzględnić nie mógł żaden z carów rosyjskich — t. j. Polska wolna od morza do morza, złączona conajwyżej z Rosyą pod berłem jednego monarchy .

Przeciwnicy zaś wybuchu zbrojnego, tak zwani „Biali“, patrzący trzeźwo i widzący przyszłość narodu w pokojowych pracach na polu ekonomicznem i społecznem w szerzeniu oświaty i w przyjęciu różnych koncesyj, jakie teraz można było dla kraju uzyskać, — bezsilnymi byli wobec wzbierającego prądu rewolucyjnego.

Na tak mocno już zaciemniony, przepowiednią nadchodzącej burzy wstrząśniony widnokrąg polityczny, wysunął się teraz człowiek niezwykły, o wielkiej inteligencyi i geniuszu politycznym, człowiek niezmordowanej pracy i har-



Fot. „Camera.“ Z. Śniegocki w Poznaniu.
Uczestnicy powstania styczniowego przeważnie już nieżyjący.

townej woli, człowiek, którego chyba z żelaznym kanclerzem niemieckim Bismarkiem porównaćby można. Tylko, że Bismark szczęśliwym był w przeprowadzaniu swych zamysłów, a Wielopolskiego zgubiła wielka niepopularność, jaką wyrobił sobie przez swój mściwy i zacięty charakter i niesłychaną pychę,



Uczestnicy powstania z W. Ks. Poznańskiego.

Od góry z lewej ku prawej stronie: 1) 3 bracia Miśkiewicze. 2) Adam Wyszomirski. 3) Włodzimierz Gładysz. 4) Zygmunt hr. Skórzewski. 5) Tadeusz Morawski. 6) Teodor Żychliński 7) Juljan Czarnecki. 8) Ernest Swinarski. 9) Kazimierz Unrug. 10) Napoleon Urbanowski 11) Ks. Żytkiewicz. 12) Mieczysław Leitgeber. 13) Kurowski. 14) Witalis Sulerzyski.

która jego samego a pośrednio i społeczeństwo polskie zgubiła. Wszelkie jego usiłowania, by uspokoić kraj wzburzony i przeprowadzić wewnętrzne reformy były jak owa rwąca się ustawicznie „przędza Penelopy“.

Własny naród zapoznał i jego genialne zdolności i jego dobre chęci i prawdziwą miłość do rodzinnej ziemi, a widział w nim zdrajcę, zaprzedanego duszą i ciałem Moskalowi.

Wielopolski jednak był sam temu wiele winien, gdyż postępował sobie tak, jakby sam na własną niepopularność chciał sobie zapracować.

Po ustąpieniu Muchanowa powołany teraz na dyrektora komisyi oświecenia, przybył do Warszawy d. 24 marca.

Obejmował stanowisko swe przejęty gorącą chęcią przysłużenia się krajowi i uspokojenia wzburzonych umysłów.

A tymczasem agitacya rewolucyjna coraz więcej się rozszerzała nietylko w samej stolicy, ale i na prowincyi. Codziennie po kościołach, po ulicach i placach gromadziły się demonstrujące tłumy . Duchowieństwo brało powszechnie niemal w tych demonstracyach udział.

Wielopolski chąc temu koniec położyć, postąpił sobie bardzo bezwzględnie. D. 2-go kwietnia przyjmując przedstawiające mu się duchowieństwo, w przemowie swej rzekł: „jestem członkiem rządu najjaśniejszego pana, — — a rządów żadnych w rządzie nie uznam. Z pod ustaw ustanowionych nikomu samowolnie wyłamywać się nie dam“. — Wogóle ton i treść przemowy jego do najpoważniejszych przedstawicieli duchowieństwa były lekceważące, pogardliwe; czem Wielopolski oburzył przeciw sobie i do reszty pchnął w objęcia rewolucyi duchowieństwo katolickie w Królestwie.

Drugim zgubnym dla kraju krokiem, a wypływającym także z niepomiernej pychy i zawziętości Wielopolskiego, było rozwiązanie „Towarzystwa Rolniczego“.

Margrabia nie mógł tego darować towarzystwu, że swego czasu nie chciało go przyjąć w poczet swych członków, a prezesowi towarzystwa hr. Andrzejowi Zamojskiemu zazdrościł niepomiernie jego wziętości u narodu.

Naród oburzony zniesieniem towarzystwa rolniczego postanowił urządzić wspaniałą manifestację narodową w d. 8-go kwietnia.

Policya jednak, choć przysposobienia do manifestacyi nie były żadną tajemnicą, nie przedsięwzięła żadnych środków, by temu zapobiedz. Natomiast nagromadzono liczne siły wojskowe, zdaje się z obmyślanym naprzód planem, by dać krwawą nauczkę ludowi.

Już dnia poprzedniego, 7-go kwietnia 1861 przyszło do różnych demonstracyj i licznego zbiegowiska pod murami zamku, obyło się jednak bez krwi rozlewu. Lecz był to już jakoby prolog do krwawej, tragedyi dziejowej, jaka się nazajutrz odegrać miała na ulicach Warszawy, d. 8go kwietnia, w którym wojsko rosyjskie płazowało szablami, mordowało i strzelało do bezbronnego ludu . Na samym placu zamkowym dano do ludu jedenaście salw, które się co kwadrans powtarzały. Ostatnia jedenasta salwa rozbrzmiała, gdy już całun mroku okrył plac i ulice krwią były oblane, gdyż o zapaleniu latarń nikt nie pomyślał.

Ile ofiar poległo, trudno to sprawdzić, relacye ówczesne są pod tym względem z sobą niezgodne.

Za najprawdopodobniejszą przyjąć można liczbę, jaką podał lwowski „Ruch literacki“, — przeszło 200 osób na miejscu zabitych, a 400 ciężko rannych, z których nieomal wszyscy później umarli. Lżej rannych była liczba znacznie większa.

Gdy już ostatnia salwa przebrzmiała, po mrocznych ulicach miasta snuły się jeszcze przerażone, lecz nie rozchodzące się do domów tłumy .

Wtedy ze zamku puszczono dwanaście rakiet, a z wału Włodzimierskiej cytadeli zagrzmiało 6 strzałów armatnich; a gdy lud w popłochu uciekać począł do domów, zadudniły już kopyta końskie po bruku, — to wojsko pozajmowało na ulicach powyznaczane sobie stanowiska, jakby w zdobytem mieście. Kozacy, ułani, żandarmi przebiegali ulice, bijąc nahajkami, tratując i mordując przechodniów, którzy się jeszcze do domów schronić nie zdołali. Ale i do pozamykanych domów wbiegało przemocą żołdactwo i porywało złożone w domach trupy i rannych, których furgonami wojskowemi wywożono do cytadeli. Przeważną część trupów i rannych topiono ukradkiem we Wiśle, lub też pochowano potajemnie w rowie cytadeli! Urzędowo zaś pochowano d. 10. kwietnia w cytadeli, „na miejscu poświęconem“, jak się urzędowe doniesienie wyraża, — koło bramy Michałowskiej, dziewięciu mężczyzn i jedną kobietę, by opinię publiczną oszukać. Gorczakow w raporcie przesłanym carowi podał również liczbę poległych na 10. Warszawa

cała pokryła się żałobą; czad krwi bezbronnych ofiar, pomordowanych haniebnie w dniu rzezi zdawał się unosić w powietrzu i otumaniać umysły.

A większe jeszcze wzburzenie ogarnęło ludność, gdy Gorczakow po dokonanej rzezi wydał odezwę do wojska, donosząc, że: „Najjaśniejszy Pan raczył rozkazać objawić najwyższą swą wdzięczność jenerał-porucznikowi Chrulewowi i będącemu pod jego dowództwem d. 8. kwietnia wojsku za uśmierzenie rozruchów, wywołanych przez tłumy wzburzonego ludu na placu zamkowym w Warszawie.“

Odezwa taka musiała zranić głęboko uczucia nieszczęsnego, żałobą okrytego ludu, była jakby szyderskiem urągowiskiem nad przelaną krwią bezbronnych, nad bólem i żałobą pozostałych.

Ten mord masowy bezbronnych wywołał ogromne oburzenie w całym cywilizowanym świecie. Prasa europejska nie szczędziła słów potępienia dla rządu rosyjskiego, a słów sympatyi dla Polaków.

Zagraniczny organ zrewolucyonizowanych Rosyan, „Kołokoł“, wydrukował artykuł p. t. „Mater Dolorosa“, w którym wyrażał jawnie sympatye ,jakie wolnomyślni Rosyanie mają do Polaków.

Wiele Rosyanek nawet w głębi Rosyi przywdziało żałobę po poległych na ulicach Warszawy ofiarach.

Wszystko to razem wzięte i rozpacz mordowanego ludu i platoniczne współczucie, jakiego nie szczędziła zagranica i wyrazy poparcia, jakie część rosyjskiego narodu Polakom słała, wpływało na zasilanie wzbierającego z dniem każdym prądu rewolucyjnego.

Zamyślano już teraz o powstaniu, w czem naród utwierdzała i ta okoliczność, że w Paryżu dzięki zabiegom jen. Wysockiego rząd francuski pozwolił kształcić się polskiej młodzieży w rządowych szkołach wojskowych. We Włoszech zaś założono polską szkołę podchorążych w Genui; — co dawało rękojmię, że powstaniu przyszłemu nie zabraknie wykształconych w sztuce wojennej dowódców.

Wszystko popychało po śliskiej ścieżce rewolucyjnej, nieszczęsny naród, który jak lunatyk z rozwartą, a nic nie widzącą źrenicą kroczył bezwiednie ku rozwartej, zagładą grożącej przepaści.

Sam Gorczakow przestraszony straszliwemi rozmiarami i skutkami katastrofy, rozchorował się śmiertelnie i umarł d. 20 maja.

Namiestnikiem Królestwa został teraz Mikołaj Onufrowicz Suchozanet, człowiek ograniczony, a przytem niesłychanie zarozumiały, który nawet najwyższych dygnitarzy traktował jak rekrutów, a z narodem całym postępował jak z batalionem żołnierzy. Mimo swej srogości ośmieszał on tylko rząd, którego był reprezentantem.

Wielopolski zaś, który także część tego rządu reprezentował, coraz więcej nieufność do siebie w narodzie obudzał.



Fot. „Camera“ Z. Śniegocki w Poznaniu.
Uczestnicy powstania z W. Ks. Poznańskiego.
Od góry z lewej ku prawej stronie: 1) Piotr Sokolnicki. 2) Emil Sokolnicki. 3) Stanisław Radoński. 4) Teodor Radoński. 5) Tadeusz Chłapowski. 6) Dr. Władysław Niegolewski. 7) Maksymilian Broeckere. 8) Józef Długolęcki. 9) Napoleon Mańkowski. 10) Kazimierz Trąmpczyński. 11) Edmund, Stanisław i Henryk Trąmpczyńscy. 12) Władysław Trąmpczyński. 13) Nikodem Maryański. 14) Dr. Idzi Szuman.

Wydarzyło się właśnie, że Wielopolski przegrał jakiś proces w trybunale kieleckim, a wygórowana pycha, nie dozwalająca mu na przyznanie, by on mógł mieć kiedykolwiek niesłuszność, uniosła go do tego stopnia, że dał dymisyę przewodniczącemu sądu Wojciechowi Biechońskiemu, sędziów zaś biorących udział w tej rozprawie sądowej, przesadzono na jego rozporządzenie za karę do innych miejscowości.

Wywołać to musiało ogromne oburzenie na Wielopolskiego i zniechęcić do niego nawet tych, którzy mu dotąd przychylni byli. Dobre skądinąd jego chęci i prace nad zaprowadzeniem wewnętrznych reform były skutkiem tego istną pracą Syzyfa, toczącego pod górę wiecznie na dół spadający kamień. Tem trudniejszem zaś było położenie margrabiego, że skutkiem sporów i niesnasek, jakie między nim, a nowym namiestnikiem zaszły i skutkiem donosów tegoż i w sferach rządowych przestano ufać Wielopolskiemu, posądzając go o nowoczesny wallenrodyzm.

Równocześnie jednak rząd rosyjski widząc, że Suchozanet ośmiesza tylko powagę władzy, usunął go ze stanowiska namiestnika Królestwa Polskiego. Na jego miejsce przybył d. 23 sierpnia hr. Lambert, katolik, pochądzący z francuskiej, choć zrusyfikowanej rodziny. Był to człowiek wielkich zalet zarówno fizycznych jak i moralnych. Rząd wysyłając go do Warszawy, sądził, że sympatyczna postać Lamberta, wspólność wyznania, oraz francuskie pochodzenie usposobią dlań ludność polską przychylnie, lecz obawiając się zarazem, by Lambert nie posunął się zbytnio co do ustępstw wobec Polaków, przydał mu anioła-stróża w osobie jenerał-gubernatora warszawskiego Aleksandra Gerstenzweiga, który był zdeklarowanym wrogiem Polaków, choć matka jego była Madalińska z domu ,córka jenerała Kościuszkowskiego .

A tymczasem manifestacye uliczne i nabożeństwa kościelne, przybierające cechę polityczną, nie ustawały ani na chwilę.

Po kościołach zbierano wszędzie składki na „ołtarz ojczyzny“. — W koś-

ciele Bernardynów na jednem z takich nabożeństw kwestowali żydzi w hałatach i żydówka.

Pogrzeb- ks. arcybiskupa Fijałkowskiego, który d. 5-go października umarł, był niezaprzeczenie wielką manifestacyą narodową. Za trumną na poduszkach czerwonych niesiono wieńce cierniowe, wielkiego orła białego, oraz insygnia królewskie. wszystko to owinięte krepą. Przeszło 100 000 narodu uczestniczyło w pochodzie pogrzebowym, a aż 49 sztandarów, zdobnych w orła i pogoń szeleściło nad głowami tłumów.

Mowy żałobne pełne były aluzyj politycznych.

Od dnia tego mnożyły się publiczne manifestacye a na dzień 15-go października wyznaczonym był znów uroczysty, o rewolucyjnym charakterze obchód na pamiątkę zgonu Kościuszki.

Lambert nie widząc innego sposobu, by temu nadal zapobiedz i ulegając Gerstenzweigowi, który przeważny nad tym marzycielskim i chwiejnym choć szlachetnym człowiekiem wpływ uzyskał, ogłosił stan wojenny w całem Królestwie, a na ulicach Warszawy znów wojsko stanęło obozem tak, jak po rzezi ósmego kwietnia. Zapowiedzianą też była kara stu rubli dla tych ,którzy składy swe na dniu 15-ym października zamkną; mimo to wszystkie składy w dniu tym pozamykano w całej Warszawie, a nieprzeliczone tłumy podążyły do kościołów św. Jana i Bernardynów.

Wojsko pod dowództwem Chrulewa, który się d. 8-go kwietnia tak strasznemi głoskami w dziejach polskiego narodu zapisał, wkroczyło do kościoła Bernardynów, gdzie się wielkich dopuściło nadużyć. Sołdaci kradli klejnoty, bili modlące się tłumy kolbami karabinów, rozbijali sprzęty kościelne. Wszystkich obecnych w kościele mężczyzn aresztowano.

Z kościoła bernardyńskiego ruszył Chrulew do kościoła św. Jana. Sołdaci spuściwszy bagnety jak do ataku, ruszyli ku nawie kościelnej. Cały kościół rozbrzmiał jękiem i płaczem. Sołdaci chwytali przemocą i wyprowadzali aresztowanych mężczyzn, których tejże nocy odstawiono do cytadeli.

Po zliczeniu aresztowanych, między którymi byli także żydzi, okazało się, że liczba aresztowanych wynosiła przeszło 1680 osób.

Administrator osieroconej zgonem arcybiskupa dyecezyi ks. Antoni Białobrzeski zagroził namiestnikowi, że zamknie wszystkie kościoły, jeźli aresztowani po kościołach nie zostaną uwolnieni.

Lambert zdziwiony i przerażony wielką liczbą aresztantów prawie wszystkich nazajutrz uwolnił.

Opuszczając progi więzienia, uwolnieni wołali na cały głos: „Jeszcze Polska nie zginęła" i sądząc, że wolność swą zawdzięczają wstawiennictwu Napoleona i królowej angielskiej wołali także: „Niech żyje Napoleon; wiwat Wiktorya".



Fot. „Camera." Z. Śniegocki w Poznaniu.
Grupa wybitnych uczestników powstania.
Klisza sporządzona z współczesnej fotografii zw. „Carte nationale."

Gerstenzweig, który właśnie jechał do cytadeli, by sprawdzić ilość więźniów, napotkał gromadę tak krzyczących na cały głos uwolnionych aresztowanych. W najwyższem wburzeniu pojechał wprost z cytadeli do zamku i urządził gwałtowną scenę, podobno znieważył czynnie namiestnika. Przyszło między nimi do amerykańskiego pojedynku, a że Gerstenzweig czarną wyciągnął gałkę, więc też zaraz dnia następnego od rana d. 17-go października strzelił do siebie z rewolweru dwukrotnie w głowę. Rany były śmiertelne, żył jednak jeszcze przez dni 19.

Ks. Białobrzeski mimo uwolnienia aresztowanych, zamknął kościoły a, za jego przykładem poszli rabini i pozamykano również synagogi.

Lambert wzburzony tem i przerażony tragicznem zajściem z Gerstenzweigiem zarządził ponowne aresztowania tak, że się wkrótce cytadela przepełniła.

Po ulicach miasta codnia uganiali się, jak szaleni Kozacy, bijąc nahajkami kogo tylko napotkali.

Większość członków świeżo utworzonej „Rady stanu" mimo błagań Wielopolskiego podała się do dymisyi.

Lambert, poprzednio już słaby na płuca, dostał wskutek doznanych wstrząśnień moralnych ciężkich krwiotoków i po dwumiesięcznych rządach opuścił ciężko chory Warszawę. W przeddzień jego wyjazdu przybył do Warszawy Suchozanet i objął tymczasowo rządy. Wielopolski podał się do dymisyi, której na razie car nie przyjął jeszcze stanowczo, lecz zawezwał margrabiego do Petersburga. Wielopolski odjechał, pozostawiając rozpoczęte, a niedokończone reformy.

Pobyt jego nad Newą trwał aż cztery miesiące, w czasie których zjednał sobie na nowo ufność cara.

W Warszawie tymczasem rozpoczął już srogie rządy nowy namiestnik Aleksander Nikołajewicz Lüders, Niemiec rodem, hulaka, gbur i złodziej, który skarb publiczny, jako naczelny wódz armii rosyjskiej po Gorczakowie we wojnie krymskiej, okradł.

Lüders rozpoczął swe rządy tem, że nakazał aresztować wszystkich członków komitetu, urządzającego uroczystości żałobne na pogrzebie arcybiskupa Nakazał także uwięzić rabinów za zamknięcie synagog. Ks. Białobrzeskiego starca 70 letniego, wywleczono o drugiej w nocy z łóżka i uwięziono w cytadeli. Zaprowadzono też znów tajne sądy, a służba policyjna odbierała nagrody za liczne aresztowania.

Liczba uwięzionych w cytadeli dochodziła 14 833 ,prócz tego niezliczona ilość uwięziona była na Pawiaku.

Wielopolski powróciwszy do Warszawy, przerażony stanem, w jakim kraj się znajdował, powtórnie podał się do dymisyi. Raz wtóry zawezwany do Petersburga zdołał przekonać cara o konieczności dokonania rozpoczętych reform i nadania krajowi jak najdalej idących ulg.

D. 14-go czerwca r. 1862 powrócił ponownie do Warszawy, jako samowładny naczelnik rządu cywilnego. Przywoził dla żydów nieomal zupełne równouprawnienie z resztą ludności, sądząc, że usunięciem antysemickich usterek zdoła sobie ludność żydowską pozyskać i oderwać ją od ruchu rewolucyjnego.

Za staraniem margrabiego zniesiono też zależność poczty w Królestwie od jej rządu w Petersburgu. W szkołach miał być zaprowadzony wykład polski, a do planu nauk szkólnych miała być wprowadzoną zakazana dotąd historya i literatura polska.

Jeden jednak wielki, nie do darowania błąd, z którego historya nigdy rozgrzeszyć nie może, popełnił Wielopolski, że zamiast uwłaszczenia przeprowadził



Fot. „Camera“ Z. Śniegocki w Poznaniu.

Weterani z 1863/4 roku mieszkający w „Przytulisku“ uczestników powstania w Krakowie.

Pierwszy rząd od góry z lewej ku prawej stronie: Bogusławski Teodor. Raszewski Antoni. Lutyk Jan. Bogacki Walenty.

2-gi rząd: Gnoiński Antoni. Wrona Karol. Szybejko Michał. Wiatcki Stanisław. Horbowski Władysław. Derlatko Piotr. Radomski Ferdynand. Seweryn Franciszek. Opach Mateusz Satara Kasper. Kania Marcin.

3-ci rząd: Ścigalski M. Tarabuła Jan. Marcinkowski Piotr. Gumpert Edw. Krzyżanowski L Marcinkowski Jan. Wink Adolf.

4-ty rząd z dołu: Meyer Adam. Gryglewski Konstanty. Garbolewski Jan. Kiełza Alfred. Gąsiorowski Antoni. Olekiewicz Kazimierz. Prymaszewski Jan.

oczynszowanie włościan. Warunki oczynszowania były korzystniejsze dla dworu, niż dla chaty, bo czynsz od gruntu, który w przyszłości wolno było kmiotkowi na swe potrzeby uprawiać, był tak wysokim, że właściciele ziemscy stosunkowo więcej z tego oczynszowania, niż z pańszczyzny ciągnęli korzyści.

Zdaje się, że na takie przeprowadzenie sprawy przez Wielopolskiego wpłynęły osobiste względy materyalne, gdyż w ten sposób mógł ciągnąć większe zyski z swych dóbr chrobrzewskich.

Że takie załatwienie sprawy większą jeszcze przepaść między dworem a chatą wykopało, wynika samo z siebie.

A prąd rewolucyjny wciąż wzbierał. Napróżno nowo-mianowany arcybiskup warszawski, ksiądz Zygmunt Szczęsny Feliński, syn zasłużonego Polsce rodu, usiłował uspokoić wzburzone umysły i odwieść duchowieństwo od popierania ruchu rewolucyjnego. Na wszelkie jego pokojowe wystąpienia, na jego rozumne usiłowania ,by naród odwieść od zbrojnego wybuchu, odpowiadano mu paszkwilami i nieprzyjaznemi manifestacyami. Zresztą na rozpalonym bruku Warszawy, nad którą unosiła się idea rewolucyjna i tchnieniem swem, jak zakaźna choroba, udzielała się każdemu — i tego światłego, rozumnie potrzącego księcia kościoła zwolna zakaziła.

Tymczasem po kościołach odbywały się codzienne nieomal aresztowania i wołające o pomstę do nieba gwałty. Wobec tego uspokojenie wzburzonych umysłów nastąpić nie mogło. — Z poszczególnych, zrewolucyonizowanych jednostek, z luźnych tu i owdzie tworzących się towarzystw, popierających ruch zbrojny, wyłaniać się począł tajny rząd narodowy. Jak i kiedy on powstał trudno dokładnie oznaczyć; w mrocznych tajniach tworzyło się i przetwarzało ciało konspiracyjne.

Garstka samozwańczej, ambitnej młodzieży samowolnie zawiązała „komitet miejski“; prócz tego utworzył się „komitet akademicki“. Oba te komitety złączyły się później razem w jeden, który nazwał się „Centralnym Komitetem Narodowym“. Komitet ten, podzielił miasto na cztery wydziały, wydział każdy rozpadał się na okręgi, okręgi na sekcye i rewiry, rewir każdy obejmował kilkanaście domów . Komitet wydawał tajne pismo rewolucyjne „Ruch“, za pomocą którego mógł wywierać wpływ na opinię i usposobienie społeczeństwa. Brakło jednak komitetowi środków pieniężnych, więc nakazano podatek narodowy, który zbierali urzędnicy organizacyi zaopatrzone w kwity sumowe.

A nikomu prawie nie przyszło na myśl, by się takiemu samowolnemu nakazowi płacenia podatków oprzeć, bo pociągało to za sobą niemiłe dla wzbraniających się skutki. Zresztą ten rząd tajny, zmuszony ukrywać się, ten rząd nieznany, bez nazwisk, bez oznak widomych swej władzy, pociągał ku sobie rozgrzane umysły już samym urokiem tajemniczości. Jedni z obawy, inni, a tych była większość, z dobrej woli i z chęcią składali dary na „ołtarz ojczyzny“.

Komitety takie powstały i na Litwie, na Rusi i w innych dzielnicach kraju, a działały w porozumieniu z komitetem centralnym.

W Paryżu powstał „komitet emigracyjny“, popierający wewnętrzny rozwój organizacyi rewolucyjnej.

Gdy zaś w czerwcu r. 1862 na skutek żądań Rosyi, która oświadczyła, że prędzej nie uzna Królestwa włoskiego, aż rząd włoski nie rozwiąże szkoły podchorążych polskich, którą z Genui do Cuneo w głębi Piemontu przeniesiono, Włochy przychyliły się do żądania Rosyi. Szkołę rozwiązano, a jej uczniowie i profesorowie wróciwszy do kraju, przynieśli z sobą prócz fachowych wiadomości wojskowych, także i głowy zapalone ideałami rewolucyjnemi.

Organizacya rozprzestrzeniała się i poza granice kraju. Komitet polski w Petersburgu (do którego należał wysoki urzędnik w ministerstwie skarbu, Józefat Okryzko), pośredniczył między sprzysiężonymi rosyjskimi a polskim komitetem centralnym w Warszawie. I do wojska rosyjskiego dostawała się idea rewolucyjna i tu i owdzie istniały formalne spiski, które się jednak po większej części wydały, a należący do spisku okupić to musieli życiem.



Fot. „Camera“, Poznań. **Bój pod Węgrowem.**

(Patrz wiersz na stronie 83-ciej).

Wrzenie wzrastało i gdy po Lüdersie (ciężko rannym przy zamachu na jego życie), Wielki Książę Konstanty przybył do Warszawy, obejmując namiestnikostwo i na jego czekała dłoń skrytobójcza,



Fot „Camera.“ Z. Śniegocki w Poznaniu.
Pięciu braci Śniegockich, uczestników powstania styczniowego. Żyje jeszcze Antoni w Nowym Sączu w Galicyi; Michał po powstaniu wyjechał do Turcyi, wstąpił tam do wojska i po krótkim czasie służby awansował na oficera.

Niejaki Chmieleński, wyrzucony z komitetu centralnego, działając na własną rękę, nakłonił niejakiegoś Jaroszyńskiego do wykonania zamachu, przy którym jednak książę tylko lekką otrzymał ranę.

D. 7-go sierpnia dokonano znów nowego zamachu, tym razem na osobie margrabiego Wielopolskiego; a maczał w tem rękę ten sam Chmieleński, namawiając do wykonania zamachu litografa Rylla. Zamach się nie udał, więc w tydzień potem powtórzył zamach niejakiś Rzońca i znów naprózno. — Społeczeństwa polskiego nie można jednak winić o te zamachy, które wykonane były samowolnie, nie z poręki komitetu centralnego. Sprawców zamachu powieszono, czem ludność bardziej się jeszcze oburzyła, gdyż przy śledztwie, by wszystkie szczegóły z podsądnych wydostać, obiecano im darować życie, jeźli wszystko otwarcie wyznają. Były to wszystko niedorostki obałamucone przez Chmieleńskiego i liczono na wspaniałomyślność księcia i Wielopolskiego. Rachuby te jednak zawiodły; a wypadki biegły naprzód niepowstrzymanym pędem.

Wydalenie z kraju dla błahego powodu hr. Andrzeja Zamojskiego, co skutkiem starań Wielopolskiego nastąpiło, rozjątrzyło naród do żywego.

Nawet dyrekcya „Białych“, stronnictwa przeciwnego powstaniu, porozumiewać się zaczynała z komitetem centralnym, widząc, że nie da się w żaden sposób powstrzymać wzbierającego prądu rewolucyjnego. Wybuch powstania naznaczono jednak najrychlej na r. 1865.

Liczne jednak aresztowania konspirujących wskutek donosów szpiegów rządowych zniewoliły komitet centralny do chwycenia się terorystycznego środka, to jest do wymierzania krwawej doraźnej sprawiedliwości szpiegom i zdrajcom. By wyrokom tym odjąć cechę morderstwa, posyłano wpierw wyroki śmierci skazanym przez „Rząd Narodowy“. Wykonawcy tych wyroków sami narażali się na większe niebezpieczeństwo, lecz w tych gorących czasach ni odstręczało to nikogo. Wykonywanie wyroków „Rządu Narodowego“ uważano sobie za obowiązek.

Naprężenie wzrastało. Wola narodu prężyła się do czynu stanowczego, którego dotąd dusze w biernem upragnieniu oczekiwały. Umysły były jak baterye naładowane, do których tylko lont zapalony przyłożyć, by wybuch nastąpił. Tym lontem pod względem politycznym stała się uplanowana przez margrabiego Wielopolskiego branka.

Już od lat sześciu nie było w Królestwie poboru, który zresztą od r. 1859 odbywał się na podstawie jawnego losowania, a traktowanie popisowych było stosunkowo łagodnem.

Wielopolski zarządził jednak, by chwycono się dawniejszego, barbarzyńskiego sposobu, to jest potajemnego wyboru przez komisye rekruckie i by bez poprzedniego zawiadomienia przemocą w nocy zabierać śpiących popisowych. Wielki Książę Konstanty z początku sam się na ten barbarzyński sposób oburzył, a naczelny wódz wojsk rosyjskich w Królestwie, jenerał Remsey rzekł, że przy takim poborze wojsko spełniać będzie musiało służbę pachołków policyjnych.

Car jednak po pewnem wahaniu projekt ten zatwierdził, a Wielopolski jakby urągając bezsilnemu, gnębionemu narodowi, opublikował ów reskrypt nieszczęsny w urzędowym „Dzienniku powszechnym“ w d. 6. października, a więc na trzy miesiące przed samym poborem. Było to istnem wyzywaniem nieszczęścia, nawet Dyrekcya Białych przyznawała, że nie można zbyt ociągać się ze zbrojnem powstaniem, aczkolwiek naród nie był dostatecznie przygotowanym.

Gorączkowe przygotowania rozpoczęły się na gwałt, zakupna broni za granicą i usuwanie wczas zagrożonej poborem młodzieży, która innego wyboru nie miała, jak iść do batalionów Orenburskich na Ural i Kaukaz, nieomal na zatracenie, lub chwycić za broń w obronie uciśnionego kraju. Wybrała powstanie. Ciężarne rewolucyą łono społeczeństwa polskiego, uderzone brutalnie ręką Wielopolskiego przez zarządzenie nieszczęsnej branki, wydało z siebie przedwcześnie niedonoszony płód rewolucyi, który po 18 miesięcznym, kwawym, pełnym niedomagań i nieszczęść żywocie — miał skonać, uderzony obuchem przemocy, opuszczony w potrzebie przez swoich platonicznych przyjaciół — zagranicę — i przez część własnych współbraci.

ROK 1863.

„Ach, obronić przed wrogiem kraj bratnich rąk splotem,
Zerwać hańbiące więzy, co tak cięża szyi,
Choćby w obronie ziemi przyszło ledz pokotem,
Legniem wszyscy z imieniem na ustach Maryi.

Legniem wszyscy, by tylko miłosierny Boże
Wśród chmur skłębionych burzą, choć skrawek błękitu
Zajaśniał kiedyś znowu, aby wzeszły zorze
I przyspieszyły chwilę nowego rozświtu!“

Szło westchnienie po kraju, aż wreszcie powstali
I na śmierć idąc pewną, bohaterzy młodzi,
Chociaż niewyćwiczeni, odwagą zuchwali,
Szli garstką przeciw licznej żołdactwa powodzi.

W piersiach drżały im serca szlachetne, gorące,
Oczy pałały jakimś nieziemskim wyrazem
I jak kwiecie przedwcześnie pożęte na łące
Padali pod zabójczem — moskiewskiem żelazem.

Chwała wam, wy, polegli! Och, los wasz szczęśliwy,
Na ojców swoich ziemi sen wasz cichy taki,
Krwią swą użyźniliście rodzinne te niwy,
Nad grobem wam świergocą słodkie hymny ptaki.

Lecz biada, stokroć biada skazanym na męki
Warszawskiej cytadeli, katorgi, wygnania...
Choć pół wieku minęło, zda się słychać jęki
I widmo umęczonych z mroków się wyłania.

Ileż łez, krwi spłynęło... krwawo-łzawe morze
Powstaćby chyba mogło z bolesnego zdroju,
By nowe pokolenia, gdy schodzą w bezdroże
Tu czerpały otuchę i siłę wśród znoju.

Pół wieku już upływa na dziejów zegarze
I z dawnych bohaterów ot, garstka została,
Lecz, że ongi stanęli przy świętym sztandarze,
Dziś starcom tym sędziwym cześć, dzięki i chwała!

Niechaj Pan Bóg pokrzepi ich zwątlone siły,
Niech do końca ich cieszy szacunek współbraci,
A gdy usną na wieki na swej ziemi miłej,
Niech niebieską koroną Stwórca im zapłaci!

Paula Wężyk.

Z naszych spraw.

Odezwa.

Celem ustawienia list kandydackich do
1) rady administracyjnej,
2) wydziału rentowego,
3) sądu rozjemczego,
4) wyższego sądu rozjemczego
nowej instytucyi ubezpieczenia urzędników prywatnych w Rzeszy niemieckiej wzywamy wybranych do tejże instytucyi polskich mężów zaufania tak z grona pracodawców jak i pracobiorców, aby przyjechali w niedzielę dnia 19 bm. do Gniezna na zebranie o godzinie 4 po południu w lokalu Domu Katolickiego.

Przybycie zastępców mężów zaufania jest zbyteczne, ponieważ prawo wyboru mają tylko mężowie zaufania, a nie ich zastępcy.

Zebranie zagai z naszego polecenia kierownik naszego biura, p. Konstanty Kościński, objaśni zaś całą sprawę p. p. Czesław Bugzel, prezes Zjednoczenia Młodzieży Kupieckiej z Poznania.

Poznań, 15 stycznia 1913.

Polski Centralny Komitet Wyborczy.

Ks. dr. Antoni Wolszlegier, prezes
Stefan Cegielski, wiceprezes.
Dr. Krysiewicz, sekretarz.

* * *

Sprawa wyborów w Świeckiem.

W zeszłym tygodniu omawiano w parlamencie sprawę wyborów w Świeckiem. Uchwalono rezolucyę rugów wyborczych mimo oświadczenia rządu, że udzielił już komisarzowi wyborczemu nagany. Z posłów polskich Łaszewski i Trąmpczyński napiętnowali machinacye hakatystów. Wolnomyśl ny Neumann-Hofer stwierdził, że każdy uczciwie myślący Niemiec musi rumienić się z powodu zajść w Świeciu. Oświadczenie rządu jest niewystarczające.

Rezolucyę rugów przyjęto w końcu wszystkiemi głosami przeciwko głosom partyi rządowej.

Zaraz po wzmiankowanej powyżej dyskusyi kandydat na posła z okregu świeckiego p. Sas Jaworski, który wskutek ówczesnych nadużyć wyborczych ponownie w końcu grudnia r. z. nie został wybrany, napisał do komisarza wyborczego w Świeciu list i wręczył go za pośrednictwem komornika sądowego. W liście tym zaznacza p. Sas Jaworski, że dowiedział się o dyskusyi w parlamencie, z której wynika, że 12-go stycznia 1912 r. został wybrany posłem do parlamentu z okręgu świeckiego. Wobec tego zawiadamia komisarza, że mandat przyjmuje i prosi go, aby o tem zawiadomił swą władzę przełożoną. Sas Jaworski uzasadnia to tem, że zarówno z oświadczenia przedstawiciela rządu jak i większości mówców wynika, że według ustawy on został wybrany. Wobec takiego obrotu sprawy i rzeczy, parlament będzie musiał w najbliższych dniach zająć się tą sprawą.

* * *

Rząd pruski a Polacy.

Według doręczonego posłom budżetu, rząd pruski zamierza dalej prowadzić energicznie politykę antypolską. Wszystkie pozycye odnoszące się do tej polityki podwyższono znacznie. I tak zwiększony został etat urzędników komisyi kolonizacyjnej, a na pokrycie tych wydatków przeznaczono o 300 tysięcy marek więcej, aniżeli w roku ubiegłym. Na fundusz gadzinowy, będący do dyspozycyi naczelnych prezesów, wyznaczono o 2 i ćwierć miliona marek więcej, a na dodatki kresowe o blizko 5 milionów. Obecnie zatem na cele antypolskie budżet pruski wykazuje poważną sumę 101 mil. marek.

* * *

Odrzucone zażalenia w sprawie wywłaszczonych majątków.

Ministrowie spraw wewnętrznych i skarbu odrzucili zażalenie właścicieli wywłaszczonych majątków **Złotnik, Kołdrąbia i Dolska.** W motywach zaznaczono, że zażalenie, jakoby majątki te nie były potrzebne do zaokrąglenia posiadłości komisyi kolonizacyjnej, nie jest uzasadnione, ponieważ dla terytoryalnego zaokraglenia, w myśl ustawy, wystarcza fakt, że pomiędzy majątkami temi a posiadłościami istnieje łączność gospodarcza.

Co do *Lipienek,* dowiaduje się „Kurjer Pozn.“, że i one mają uledz wywłaszczeniu.

Wobec takiego orzeczenia wywłaszczeni oddadzą sprawę na drogę sądową.

* * *

Wiece w sprawie wywłaszczenia

odbyły się w zeszłą niedzielę w dalszym ciągu między innemi w **Strzelnie, Gołańczy, Piaskach, Sulmierzycach i Żabikowie pod Poznaniem.**

Na wiecach przyjęto rezolucye przeciw wywłaszczeniu.

Na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa Wyborczego **w Chorzowie (na Śląsku)** przyjęto rezolucyę przeciw wywłaszczeniu Polaków ze ziemi ojczystej. Członkowie przyrzekli w myśl rezolucyi przyjetych na wiecu w Inowrocławiu nad uświadomieniem współbraci pracować i dzieci swe na dobrych synów naszej ojczyzny polskiej wychować.

* * *

Znowu sprzedawczyk.

Gospodarz p. Sylwester Krzyszko sprzedał swe 500 morgowe gospodar-

stwo w Sierakówku, położonem w powiecie obornickim komisyi kolonizacyjnej. Czyn ten zasługuje na tem większe potępienie, że powiat obornicki tak bardzo jest zagrożony przez niemczyznę. Każdy nowy Niemiec osiedlający się w tych okolicach zagraża mandatowi naszemu w okręgu szamotulsko międzychodzko - skwierzyńsko-obornickim.

Wiec kobiet w Książu.

w sprawie wywłaszczenia odbył się w niedzielę, dnia 19-go b. m. o godz. 3 po południu na sali Domu Katolickiego, na który wszystkie kobiety Książa i okolicy zaprasza

Komitet wiecowy.

* * *

O polskość wszechnicy lwowskiej.

Od kilkunastu lat panuje na uniwersytecie we Lwowie wrzenie, które z każdym rokiem potęguje się, rośnie i coraz to bardziej zagraża przedewszystkiem samej nauce, społeczeństwu, a następnie sprawie narodowej. Na uniwersytecie lwowskim Rusini kształcą się obok Polaków. Stosunek Rusinów do Polaków jest niewielki, stanowią bowiem ledwie nieco więcej nad czwartą część ogółu słuchaczy. Liczba ta jeszcze bardziej się zmniejszy, jeśli się zważy, że dość poważny procent słuchaczy uczęszcza na teologię ruską, gdy udział Polaków na teologii rzymsko-kat. jest nietylko znacznie mniejszy, ale wprost niewielki. Rusini już od dłuższego czasu starali się o własny uniwersytet. Starania te jednak były prowadzone w sposób wysoce niekulturalny. Pamiętamy wszyscy te ciągłe zaburzenia, napady na profesorów, na aulę, niszczenie dzieł sztuki, strzelanie z rewolwerów i t. p. Polała się nawet krew, rozgoryczenie rosło, aresztowania, procesy oto dorobek środków walki.

Rusini walczyli o uniwersytet ruski, jak umieli, im zdawało się, że jeśli zdobędą, czy zniszczą albo zniesławią ten uniwersytet polski, to tem samem będzie to już ogromny krok naprzód w zdobyciu własnego. Może mieli oni nieco racyi, może nie jako naród pobratymczy słowiański w stosunku do drugiego narodu słowiańskiego Polaków, ale jako obywatele austryaccy wiedzieli dobrze, że w Austryi tego tylko słuchają, kto głośno krzyczy. Ale nie wszystko to, co w Austryi się dzieje, nas musi obowiązywać, tak jak nie za wszystko my własnym dorobkiem musimy płacić. Jeżeli były takie czasy, że panujący w Austryi uznali za stosowne dać ludom swego państwa swobodne prawo kształcenia się w swym języku i z tego prawa skorzystali i Polacy, to przecież nie jest jeszcze i nie może być racyą, abyśmy mieli ze swych praw kulturą nam należnych rezygnować. Zresztą z przywróceniem praw polskiego języka i samorządu na uniwersytecie lwowskim, odżyły, jak to zresztą bywa u każdego kulturalnego narodu, momenty historyczne i uniwersytet lwowski mimowoli został uznany jako strażnica polskości na wschodzie i ognisko kultury narodowej na Rusi, czyli więc mimo woli powstał przyczynowy związek między Akademią Zamojską, uniwersytetem Jana Kazimierza, gdyż wszystkie te uczelnie najwyższe miały jeden i ten sam cel wyzbywać się tego i zrzekać się tego, co nam nasza kultura nakazywała przed wiekami, co historycznie się nam należy i co przedewszystkiem stwarza naszą siłę na wschodzie, znaczyłoby to samo, co spełnić życzenia Rusinów, zlikwidować swe interesy w Galicyi wschodniej i dobrowolnie wynieść się za San. A przecież i z tą sprawą narodową łączy się sprawa ekonomiczna i tak jak naród może sobie powiedzieć być, albo nie być, to samo o sobie i jednostka może powiedzieć. Wszak gdzie mają podziać się ci ludzie, którzy od lat tylu osiedli na swej ziemi i krwią i potem własnym ją zrosili, czyż dla 25 milionowego narodu uniwersytety dwa to za dużo, a przecież od lat tylu trwały walki o zdobycie uniwersytetu lwowskiego.

Tymczasem Rusini po tylu atakach na polski uniwersytet trafili przypadkowo, czy też im kto wskazał właściwą drogę do Wiednia. Tam przed forum wszystkich narodów zamieszkujących Austryę wytoczyli swe żądania, w przypuszczeniu, że znajdą poparcie. Nie wiedzieli Rusini, że w Austryi każdy naród ma wiele do żądania i może więcej jeszcze do otrzymania, lecz wie, że niejednokrotnie i żądać szkoda.

Dwa jednak momenty wybijają się na pierwszy plan w całej tej kwestyi uniwersyteckiej. Jeden oczywiście to obrona własnego uniwersytetu, a drugi sprawa uniwersytetu ruskiego. Jedna od drugiej nie jest mniej ważną, jeśli bowiem w pierwszym wypadku chodzi o nasz własny dorobek i stan posiadania, to w drugim bądź co bądź wypadku rozstrzyga się kwestya na naszej ziemi i wśród naszej kultury, a przecież z tem liczyć się niemniej musimy, bo oddziaływać będzie w większej lub mniejszej mierze i na naszą kulturę.

Jeśli idzie o obronę naszego uniwersytetu, to przyznać musimy, że faktycznie aż do ostatnich czasów prawie nie broniliśmy go wcale, broniła go sama młodzież przed atakami ze strony rusińskiej z rozmaitem powodzeniem, zwyczajnie szczególnem, gdyż Rusini napadali na uniwersytet wtedy, gdy polskiej młodzieży nie było. Dopiero niedawno, gdy i ruskie żądania stały się natarczywsze i my spostrzegłszy grożące niebezpieczeństwo zaczęliśmy myśleć o tem. I dziś wobec grożącego niebezpieczeństwa niema faktycznie jasnej opinii wśród społeczeństwa naszego, a nasza reprezentacya swem postępowaniem przyczyniła się, że dziś wśród formułek, rezolucyi i t. d. nikt nie może dopatrzeć się, o co chodzi Kołu Polskiemu. Dziś dopiero, gdy nad głową dach się pali, Koło debatuje nad zabezpieczeniem polskości uniwersytetu. Otóż przedewszystkiem polskość uniwersytetu lwowskiego powinno się było już dawno zastrzedz, co byłoby bez takiego trudu z łatwością można uczynić, następnie dziwić się jeszcze wypada, że dziś, kiedy polskość uniwersytetu lwowskiego zagrożona, znachodzą się u nas wśród naszego społeczeństwa wyjątki, które naszemu uniwersytetowi, gdyż on był mu tej polskości, ale co więcej wprost twierdzą, że ta nie przysługuje wcale naszemu uniwersytetowi gdyż on był uniwersytetem.... austryackim, gdzie wykładano po polsku i kreowano katedry polskie, ale też kreowano i ruskie i wykładano po rusku. Założenie nader mylne i fałszywe, godne punktu widzenia ukraińskiego, ale nigdy polskiego. Ale choćby nawet i tak było i choćby na to godzić się wypadało, to mimo wszystko godność nasza, nasza siła dwudziestopięciomilionowego narodu nakazuje nam z takich chwil korzystać i powiedzieć sobie, że skoro gdzieindziej nie możemy posiadać własnego uniwersytetu, to tutaj musimy posiadać dwa uniwersytety i skoro już dziś mają otrzymać Rusini tak solenne zapewnienie co do swego uniwersytetu, to przecież i nam chyba też wypada postarać się o pozyskanie pewnych zdobyczy.

Tymczasem społeczeństwo nasze gubi się już od szeregu miesięcy w czczych manifestacyach, może imponujących i efektownych, ale pozatem nie potrafiła ani jedna partya stanąć odważnie i swe żądania jasno sformułować. A polityka polska w sprawie uniwersyteckiej powinna być przewidująca.

Rusini w orędziu cesarskiem mają mieć przyrzeczony uniwersytet w danym terminie, z chwilą stworzenia ruskiego uniwersytetu uniwersytet polski. Otóż przedewszystkiem temsamem stwierdza się najwyższem postanowieniem, że obecny uniwersytet lwowski niema charakteru polskiego, a następnie trzeba i o tem pamiętać, że w Austryi wiele rzeczy postanawia się ale nie wykonuje, czego najlepszym dowodem są kanały galicyjskie. Dlaczego niema być to samo z uniwersytetem ruskim. Niech zajdzie fakt, że Rusini stracą te wpływy, jakie zyskali tak szybko obecnie we Wiedniu, mniejsza z tem dlaczego i z jakich pobudek zewnętrznej polityki austryackiej, karmiącej się utopiami, a fakt ten ze względu na szerzący się w przestraszający sposób rusofilizm na wschodzie zajść może, wtedy i wpływy przepadną i uniwersytet ruski pozostanie jak wiele rzeczy tylko pium desiderium, ale co wtedy będzie z uniwersytetem lwowskim? Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zostanie utrakwistyczny i jeśli rząd tak upiera się przeciw ogłoszeniu już teraz polskości uniwersytetu, to czyni to nie z innych względów, ale właśnie z tych, aby mieć wolną drogę do odwrotu, ponieważ sam w kreowanie uniwersytetu ruskiego nie zbyt wierzy. W ten sposób my już dziś z chwilą wydania orędzia w sprawie uniwersytetu ruskiego tracimy własny uniwersytet polski we Lwowie na rzecz Rusinów ,on z tą chwilą staje się utrakwistyczny i takim prawdopodobnie pozostanie, bo od ogłoszenia do stworzenia jest daleka droga. Historya wtedy osądzi w jaki to sposób reprezentacya nasza do tego dzieła rękę przyłożyła.

Sam fakt powstania uniwersytetu ruskiego trzeba inaczej osądzać, aniżeli osądzano go w społeczeństwie naszem i stąd zapewne i dziś ta dezoryentacya w tej sprawie. Tymczasem byli jedni, którzy zwalczali to żądanie Rusinów, a nawet im wprost odmawiano tego, byli znów i inni, którzy za uniwersytetem ruskim kopie kruszyli wtedy, gdy studenci ruscy z całą przyjemnością plądrowali uniwersytet polski. Ale nie było w społeczeństwie tego rozważnego głosu, któryby kazał własny gmach nad głową zabezpieczyć, a o obcy nie troszczyć się. I w ten sposób dziś wszystkie stronnictwa znalazły się w kropce. Narodowi demokraci, którzy oświadczali się przeciw uniwersytetowi ruskiemu, dziś z faktem, że uniwersytet powstanie zgodzić się muszą, różni konserwatyści i postępowcy nasi dziś sami znów widzą, że Rusini bez ich pomocy się obeszli, o uniwersytet się postarali i dziś na zastrzeżenia Koła polskiego, nawet tak nieśmiało, jak ostatnio wyrażone, zgodzić się niechcą.

Ze sprawy uniwersyteckiej widać, że nie jesteśmy przewidującymi politykami i „consules" swych własnych interesów być nie potrafimy.

S. W.

Na widowni.

Po feryach gwiazdkowych zebrały się obie izby ustawodawcze w Prusach i rzeszy niemieckiej: sejm i parlament. Obecną kampanię obu parlamentów nazwać można głównym sezonem parlamentarnym, gdyż tak parlament rzeszy jak i sejm pruski załatwić się mają z etatem państwowym.

Pierwszym punktem obrad izby sejmowej jest projekt budżetu czyli dochodów i rozchodów państwa za rok bieżący. Następnie ważna jest sprawa noweli podatkowej, mianowicie posłom rozchodzi się o to, aby usunięte zostały tak zwane dodatki do podatku dochodowego, które ściągane być miały tylko przejściowo.

Nadzieje hakatystów, że rząd wniesie do sejmu projekt ustawy parcelacyjnej, nie ziściły się. To też posłowie hakatystyczni gwałtownie napadają na rząd, zarzucając mu brak stanowczości w prowadzeniu polityki antypolskiej na „Kresach Wschodnich."

Nasze Koła parlamentarne nie próżnują. Do poszczególnych punktów obrad nad etatem wydelegowały już mówców.

Zaznaczyć należy, że w etacie pruskim przewidziane są wszystkie dotychczas zaprowadzone fundusze gadzinowe na politykę antypolską. W roku bieżącym skończy sejm swój żywot śmiercią naturalną, bo upływa jego 5-letnia kadencya. Termin prawyborów — jak nam donoszą — z kół parlamentarnych naznaczony jest na 14-go maja, a właściwe wybory załatwione być muszą do 25-tej rocznicy rządów cesarza Wilhelma i odbędą się w poniedziałek 2-go czerwca.

W parlamencie niemieckim sprawa podatkowa wywołać może obrady bardzo burzliwe. Podług uchwały ma być wniesiony do 1-go kwietnia b. r. projekt podatku majątkowego. Niezawodnie sprawa ta wyrządzi rządowi nielada trudności, czego dowodzi fiasko obrad ministrów finansów państw związkowych, odbytych w ubiegłym tygodniu w Berlinie. Jak wiadomo, o podatek ten rozbił się już raz blok konserwatywno- liberalny a ówczesny kanclerz rzeszy ks. Bülow spadł z krzesła kanclerskiego.

Ważną uchwałę powziął parlament podczas dyskusyi nad ważnością wyboru posła Beckera z Hesyi. Uchwała ta ma bardzo wielkie znaczenie dla nas Polaków. Według dotychczasowej praktyki wszystkie głosy oddawane przy wyborach do parlamentu podczas nieobecności przewodniczącego i jego zastępcy, były uważane za nieważne.

Obecnie komisya rugów wyborczych zniosła ten zwyczaj i rozstrzygnęła, że głosy takie w przyszłości mają być liczone i uznane za ważne.

Pogłoski o nowych projektach wojskowych, które rząd zamierza przedłożyć parlamentowi, wywołały, mimo oficyalnych zaprzeczeń, w prasie zagranicznej obszerne i ożywione komentarze. Paryskie „Echo de Paris" twierdzi, iż w Niemczech panuje przekonanie, że, jeżeli wojna nie miałaby w tym roku wybuchnąć, to nie jest jednak pewnem, że zostanie zupełnie uniknioną.

Nie bez znaczenia była również podróż rosyjskiego ministra wojny Suchomlimowa do Paryża, gdzie odbyć miał naradę z francuskim sztabem wojskowym w sprawie stanowiska rosyjskiej siły zaczepnej na wypadek wojny.

Wielkie naprężenie i wzburzenie wywołało ustąpienie francuskiego ministra wojny. Powodem ustąpienia jest powołanie przez Milleranda do armii pułkownika Paty de Clama, oskarżyciela głośnego swego czasu kapitana Dreyfusa. Powołaniu sprzeciwili się radykałowie i socyaliści francuscy. Millerand był jednym z najzdolniejszych organizatorów armii francuskiej.

Sytuacya w kwestyi bałkańskiej znacznie się pogorszyła i najprawdopodobniej zakończy się zupełnem zerwaniem rokowań pokojowych. Turcya nie zgadza się na warunki państw związku bałkańskiego, przedewszystkiem nie zgadza się na oddanie Adryanopolu i wysp morza Egejskiego. Przypuszczano, że wysłanie noty kole-

ktywnej sześciu wielkich mocarstw zmusi Turcyę do ustępstw.

Tymczasem okazuje się, że Turcya w przedśmiertnych drgnieniach zdecydowana jest jeszcze raz popróbować oręża na linii bojowej Czataldży.

List ze Lwowa.

(Własna korespondencya „Pracy.“)

Lwów, 11-go stycznia 1913.

(Zjazd dyrektorów szkół średnich. — Reforma szkół wydziałowych. — Sprawa przeniesienia zwłok Maryi Konopnickiej na Skałkę do Krakowa.)

Przebrzmiały dawno złote czasy romantyzmu, a wraz z niemi pomknęła chorobliwa wrażliwość w niepowrotna dal. W gorączkowej walce o chleb powszedni nie możemy idealizować sobie życia, ani zniechęcać się drobnemi przeszkodami. W życie iść musimy o stalowych nerwach, wpatrzeni w jednę ideę.

Zdarzało się dotychczas niejednokrotnie, że pewne jednostki, pomijając wszelkie względy etyczne, kulą rewolwerową przecinały nić żywota, ale byli to ludzie zwyczajnie starsi, często przeżyci, prawie zawsze chorzy nerwowo lub umysłowo. — Nie było jednak wypadku masowych samobójstw. Obecnie — niestety od dłuższego czasu czytamy w dziennikach, bodaj czy nie co dnia, o samobójstwach pośród młodzieży gimnazyalnej.

Chłopcy z VII., VI., nawet II. i III. klasy chwytają za rewolwer, by położyć kres swemu życiu, motywując swój czyn przed rodziną w pozostawionych listach „zniechęceniem i znużeniem życiowem.“

Masowe niemal samobójstwa studentów zwróciły uwagę społeczeństwa. Odgadywano, że przyczyna zniechęcenia leżeć musi głęboko, może nawet na dnie duszy.

Przed kilkoma dniami skończył się właśnie „Zjazd dyrektorów szkół średnich,“ na którym rozpatrywano obszernie powyższą sprawę.

Po długich a wyczerpujących debatach doszedł Zjazd do wniosku, że nic tak nie działa deprymująco na młodzież jak nieodpowiednia lektura. Zaznaczono zgubny wpływ, nie tylko całego zastępu tanich, a niestety tak bardzo u nas popularnych „czarnych i kryminalnych bibliotek,“ które niczego dać nie mogą z wyjątkiem gloryfikacyi głupoty i zła, ale także wpływ książek napisanych bardzo pięknie o rzeczywistej wartości literackiej.

Chłopak wrażliwy wprowadzony w świat nastroju i wizyi, ukochawszy bohatera, żyje tegoż życiem. Przy najmniejszej trudności szaleje, boryka się, grzebie we własnym bolu i wreszcie kończy samobójstwem jak ukochany bohater.

Zjazd oceniając sytuacyę powziął postanowienie wydać książkę opracowaną należycie z podaniem lektur odpowiednich każdemu wiekowi. Prawie równocześnie ze Zjazdem odbywała się konferencya krajowa pod hasłem reformy szkół wydziałowych.

Szkoły te zostały założone przed kilkunastu laty, by odciągnąć młodzież od szkół humanistycznych, a w zamian dać wykształcenie realistyczne. Minęły się jednak z celem, gdyż wykształcenie nie odpowiadało zupełnie niższemu gimnazyum, a chłopak po ukończeniu szkoły wydziałowej musiał zdawać egzamina wstępne.

Skoły te zaczęły podupadać tak, że Rada szkolna krajowa widziała się zmuszoną przeprowadzić reformę

Natychmiast po otwarciu powstały 2 projekty. Pierwszy Rady szkolnej, drugi nauczycielstwa. Bezwarunkowo najsympatyczniejszym jest projekt nauczycieli, którzy żądają:

1) Zwiększenie materyału naukowego.

2) Zwrócenie uwagi specyalnie na język polski, historyę i geografię polską.

3) Postawienie szkoły na równi z niższem gimnazyum lub szkołą realną.

Konferencya zwraca uwagę Radzie szkolnej, że tylko taka reforma byłaby udałą i tylko taka odpowiadałaby duchowi czasu.

W tym samym czasie, gdy uwaga społeczeństwa była zwróconą na Zjazd i konferencyę, Kraków wysłał do Lwowa prośbę o wydanie zwłok pieśniarki polskiej ś. p. Maryi Konopnickiej.

We Lwowie umarła Ona, więc na lwowskim pochowano ją cmentarzu. Ale już wtedy rozeszła się wieść, że zwłoki zostaną przeniesione na Skałkę. Zawiązany komitet poczynił starania u OO. Paulinów, jako gospodarzy na Skałce o zezwolenie. OO. Paulini zezwolili i oto nadeszła prośba.

Lwów powziął wyczekujące stanowisko. Nie chce zabierać zupełnie głosu w sprawie, w której rozstrzygać powinien cały naród. Jeśli padnie decyzya, że zwłoki mają spocząć na Skałce wyda je Lwów, chociaż nie bez żalu. Wolelibyśmy jednak, by zostały we Lwowie, by blask bijący od jej grobu przyświecał nam we walce z wrogami narodu. **Kulwiec.**

Straszna przemoc, co nas gnębi
Wie to dobrze — zbyt rozumna,
Że, gdy serce nam wyzięli,
Z uczuć naszych będzie trumna.

Z estrady i sceny.

Manewry jesienne — Zaczarowane Koło — Wieczór Tarasiewicza — Koncert Z. Jahnkiego i W. Osińskiego.

Premiera ładnej i wielce melodyjnej operetki Emericha Kalmana „Manewry jesienne“ miała powodzenie zupełne u publiczności i zapewne długo jako atrakcya pierwszorzędna pozostanie na repertuarze. Zaznaczając krótko, że tak kapelmistrz p. Eichstaedt jak reżyser p. Malawski oraz soliści i chóry zasługują na pełne uznanie, gdyż wszyscy w swoim zakresie przyczynili się dzielnie do powodzenia sztuki, nie mogę sobie odmówić przyjemności powinszować p. Janowskiej, która już jako Azucena w Trubadurze zasłużone zbierała laury, znakomitego sukcesu, jaki tak pod względem wokalnym jak aktorskim jako baronowa Riza v. Marbach odniosła. Młoda śpiewaczka posiada bardzo piękny materyał głosowy i śpiewa i gra z brawurą niepoślednią, karyerze jej scenicznej najpomyślniejsze należy stawiać horoskopy. Czardacz odtańczony w akcie drugim przez pp. Bańkowskich powszechnie się podobał.

Bardzo pięknej interpretacyi doznało na scenie naszej Lucyana Rydla „Zaczarowane Koło.“

Sztukę te grano już u nas dawniej, ostatnio za dyrekcyi Rygera. Przy tej sposobności szerzej była o niej na tem miejscu mowa. I lubo dzisiaj dawno już zgasł pierwotny dla tej wielce teatralnej i romantycznej tragedyi zapał, lubo krytyka wykazała jej wady i braki, które ongiś za zalety niemal uchodziły — to jednak został temu dziełu niemały i zasłużony urok. Odznacza się ona niepospolitą pięknością języka i finezyą formy poetyckiej. Czaruje stylowem wyrafinowaniem poszczególnych epizodów, wstrząsa potężną tragiką nieszczęsnego romansu pięknej młynarki.

Niestety znachodzą się w niej także ustępy słabsze jak rozwiązanie ingerencyą przypadkowości tragedyi wojewody, obok namiętności szczerych i figur żywych, postacie papierowe jak ów dziadek leśny, wielce poetyczne i ujmujące, lecz pozbawione krwi koncepcye liryczne, jak ustawicznie na fujarce wygrywający Głupi Maciość, topielce i topielice bez przyczyny kołyszące się na falach, postacie nadzmysłowe, jak Kusy i Boruta



Fot. „Camera" — Z. Śniegocki w Poznaniu.

Grupa poległych wybitnych uczestników powstania styczniowego.

Klisza sporządzona według współczesnych fotografii.

bardzo ważną w sztuce odgrywające role, tworzące wprawdzie efektowny aparat folklorystyczny, lecz pozbawione głębszego ideowego uzasadnienia.

Mimo wszystko, co tej sztuce słusznie zarzucić można i trzeba, zalety jej tak co do intencyi tragicznego żywiołu jak co do efektowności i malowniczości zewnętrznej, a także pod względem formalnej piękności są tak liczne i wielkie, że sztuka ta zawsze chętnych znajduje widzów i w zupełności zasługuje na to, by ją od czasu do czasu wyciągnięto z pyłu bibliotecznego na feerye sceny, będącą dla niej najwłaściwszą oprawą.

Że powodzenie tej sztuki we wysokim stopniu zależne jest od wystawy, samo przez się się rozumie. Na naszej scenie miał autor szczęście znaleść dla niej w osobie p. Kindlera znakomitego reżysera, który wszystkie jej efekty wydobył i uwydatnił z uznania godną maestryą. Ale nie tylko reżyser, także artyści wywiązali się ze zadania należycie, niektórzy świetnie.

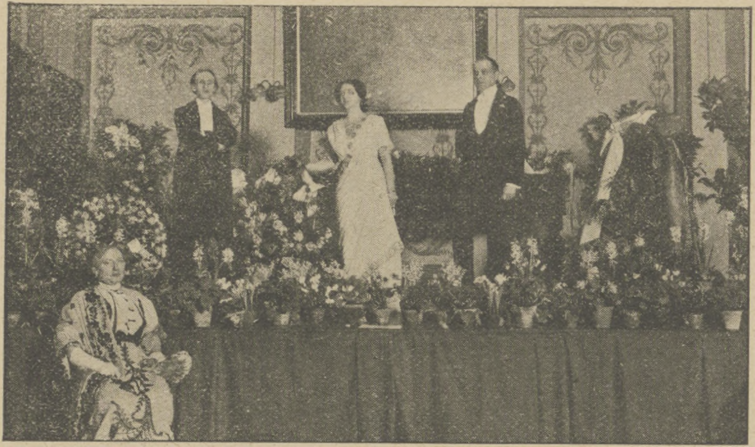
Do ostatnio wyliczonej kategoryi zaliczyłbym p. Czerniaka (Głupi Macioś), który w tej roli niełatwo znajdzie sobie równego rywala, p. Boehlkiego w trudnej, a znakomicie oddanej roli młynarczyka, oraz p. Andrzejewskiego, który jako drwal, szczególnie w scenach strachu i rozpaczy do głębi przejąć i wstrząsnąć potrafił. Panu Ryllowi przyrodzona właściwość wymowy przeszkadzała w osiągnięciu najwyższych efektów, chociaż w grze i mimice był bardzo dobry i demoniczny.

Borutę grał ze znacznem powodzeniem p. Szatkowski. To samo należy powiedzieć o wojewodzie p. Mastalskiego jako też o Dziodku leśnym p. Lochmana. Mała rola organisty u p. Rembowskiego w nader szczęśliwych spoczywała rękach. Na miejscu byli pp. Mierzejewski jako kasztelan i Korecki jako Chojnacki.

Osobna wzmianka należy się pp. Adamównie i Zawiejskiej. Pierwsza kreowała postać namiętnej, zmysłowej młynarki. Druga była antytezą tej żywiołowej, pierwotnej natury, jako pełna rokokowego wdzięku wojewodzianka. Obie panie, każda w swoim zakresie, dały kreacye pod każdym względem koncertowe. I jeżeli gra p. Zawiejskiej czarowała stylowem ujęciem i przeprowadzeniem finezyjnem roli, stawiającej do poczucia stylu interpretatorki wysokie wymagania, to gra p. Adamówny porywała siłą i bezpośrednością artystycznej ekspresyi, niepospolitym temperamentem i intensywnością tragicznego napięcia. Uznanie należy się tym paniom o tyle większe, o ile obie — rzec można właściwie pierwsze kroki stawiają na scenie.

Tak więc wznowienie „Zaczarowanego koła“ odbyło się u nas pod nader szczęśliwemi auspicyami. Miejmy nadzieję, że sztuka ta długo jeszcze pozostanie na repertuarze.

* * *



Fot. „Atelier“ Rubens w Poznaniu.

Z wieczoru Tarasiewicza. Na estradzie p. Wiesława Cichowiczówna, na lewo p. Barański, na prawo p. Tarasiewicz. Na dole na lewo p. radczyni Cichowiczowa, prezeska Towarzystwa Ludoznawczego i aranżerka koncertu.

Na sali Bazarowej mieliśmy dwa uwagi godne koncerty.

Wieczór Tarasiewicza urządzony ze współudziałem p. Wiesławy Cichowiczówny na rzecz Tow. Ludoznawczego miał obok artystycznego także znakomite powodzenie kasowe. Wyborowa publiczność szczelnie zapełniła salę i niemilknącemi oklaskami darzyła świetne produkcye występujących zupełnie bezinteresownie artystów. — Wieczór rozpoczął i zakończył p. Michał Tarasiewicz, jeden z najwybitniejszych współczesnych deklamatorów, darząc nas szeregiem przepysznie wykonanych recytacyj z dzieł Kochanowskiego, Mickiewicza, Asnyka, Czerwińskiego, Rodziewiczówny i Wyspiańskiego.

Część śpiewna, na którą składały się pieśni Szopena, arya z Mignon Thomasa, Prohazki i Niewiadomskiego, dała p. Wiesławie Cichowiczównie sposobność olśnienia publiczności zupełnie pierwszorzędnym kunsztem śpiewaczym. Szanowna artystka, określenie to przysługuje w całej pełni p. Cichowiczównie, posiada obok bardzo szlachetnego materyału głosowego znakomitą szkołę uzdolniającą ją do osiągnięcia najwyższych artystycznych efektów. Ciepły i dźwięczący metalem szlachetnego gatunku mezzosopran wytwornej śpiewaczki, rozwinął się znakomicie od czasu, gdym miał sposobność ostatni raz słyszeć ją publicznie. Jako specyalną jej zaletę podniósłbym dykcyę wyraźną i szlachetną, tudzież to, co Niemcy nazywają „Vortrag“, właściwość dysponująca p. Cichowiczównę wybitnie do występów estradowych w zakresie reprodukowania pieśni.

Publiczność frenetycznemi oklaskami darzyła jej produkcye. Cały las kwiatów pojawił się na estradzie. Owacyom, których pozazdrościćby mogła niejedna sławna zawodowa artystka, nie było końca. Przy fortepianie zasiadał p. Barański, kapelmistrz opery naszej i akompaniował dyskretnie i ze zrozumieniem cechującem tego wykwintnego i subtelnego muzyka.

Na koniec nie z mniejszem uznaniem przychodzi mi zanotować piękny koncert pp. Z. Jahnkiego i Wł. Osińskiego. Niestety nie słyszałem całości, ale dosyć w każdym razie, by potwierdzić to, co z powodu ostatniego występu Jahnkiego pisałem. To już nie adept sztuki muzycznej, lecz artysta. Nie mistrz jeszcze, lecz skrzypek, którego od mistrzostwa niewiele dzieli szczebli. Żałować tylko trzeba, że publiczność nasza, która słusznie się skarży na brak dobrych koncertów polskich, nie przychodzi liczniej na koncerty dobre, które są, a do nich zaliczyć należy wieczór wtorkowy. Także ze względu na współudział p. Wł. Osińskiego. Mogę tylko z największem uznaniem wyrazić się o tym fortepianiście młodym wprawdzie, lecz traktującym trudną swą sztukę ze sumiennością i poczuciem odpowiedzialności artystycznej wielkiem, a także z powodzeniem znakomitem. Na osobną pochwałę należy zestawienie programu wybitnie klasycznego. Świadczy to pięknie o aspiracyach artystycznych koncertantów. Że i ten program nie zachęcił publiczności do liczniejszego przybycia na koncert, nie wystawia muzykalności naszej dobrego świadectwa.

R.

Praca i walka są tak koniecznym warunkiem bytu ludzkiego, że gdzie one ustają, tam śmierć przychodzi, lub wycieńczenie, które ją sprowadza.

KRONIKA.

— **Na fundusz Obrony Narodowej** złożyli w dalszym ciągu na ręce nasze pp. Wal. Biechowski z Leszna 85 fen.; P. Lipniewski z Bey-Chehri 17 mrk.

Wzywamy Szanownych Czytelników naszych najgoręcej, by w miarę możności raczyli nadsyłać datki na ten cel tak bardzo ważny.

— **Podziękowanie i pokwitowanie.** Za datki pieniężne, nadesłane w dalszym ciągu na odnowienie dolnej kaplicy Pana Jezusa w Poznaniu składa ks. P. Adamek przy ulicy Kramarskiej nr. 2, wszystkim ofiarodawcom serdeczne Bóg zapłać i uprasza gorąco o dalsze datki na ten cel.

— **Włoska Tombola** odbędzie się na dochód Żłóbków Bractwa kwestarskiego w Poznaniu w niedzielę, dnia 19-go stycznia r. b. na wielkiej sali bazarowej. Początek o godzinie 7-mej wieczorem. Wstępne od osoby 1 mrk. włącznie karty do tomboli. Przy bufecie herbata i zimne przekąski. O liczny udział prosi

Zarząd.

Nekrologia.

† **Ś. p. Bolesław Kiełczewski,** weteran z roku 1863-go, dnia 7-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Władysław Słoniewski,** weteran z roku 1863-go, w Jarosławiu w Galicyi, przeżywszy lat 69. — **Ś. p. ks. Antoni Fórmanowicz,** proboszcz w Czerlejnie, dnia 10-go b. m. w 77-mym roku życia, a 47-mym kapłaństwa. Nieboszczyk zasłużył się nie mało wobec Kościoła i społeczeństwa, mianowicie w Grodzisku podczas walki kulturnej. — **Ś. p. Anastazya z Rosińskich Szydzik,** dnia 7-go b. m. w Wielu. — **Ś. p. Maksymilian Eibich,** dnia 5-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy 55 lat. — **Ś. p. Piotr Musielak,** dnia 5-go b. m. w Oberschoeneweide, przeżywszy 41 lat. — **Ś. p. Alojzy Kowalski,** dnia 8-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 19. — **Ś. p. Mikołaj Kowalski,** dnia 7-go b. m. w Gnieźnie, przeżywszy 94 lata. — **Ś. p. z Jaworskich Magdalena Koterska,** dnia 10-go b. m. w Poznaniu w 53-cim roku życia. — **Ś. p. Józef Scholtz,** plenipotent ordynacyi będlewskiej, dnia 11-go b. m. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Uczestniczce uroczystości gwiazdkowej we Wrocławiu.** — Notatka już była zamieszczona w „Kronice“ (patrz nr. 2-gi „Pracy“ strona 16-ta).

— **Pani Stanisławie P. w Wągrówcu.** — Serdeczne podziękowanie za tak szczere życzenia.

— **Panu M. B. Stęczyńskiemu w Cambridge Springs Pa. (Ameryka).** — Za noworoczne życzenia i 10 pięknych pocztówek z widokami serdecznie dziękujemy.

— **Pani Z. O. w P.** — Referat z wieca kórnickiego zamieściliśmy już w nr. 2-gim w artykule p. t. „Z naszych spraw.“ Za łaskawą pamięć dziękujemy.

Nowe książki i treść pism.

— **„Przegląd Wielkopolski,“** pismo tygodniowe, wychodzące w Poznaniu rok trzeci, znakomicie redagowany i nadzwyczaj poczytny organ Związku Narodowego, zamieszcza w każdym zeszycie bardzo dobre i interesujące artykuły społeczne, historyczne, literackie i t. d. Adres Redakcyi: Dolna Wałowa 1. Adres Ekspedycyi: Rycerska 38. Przedpłata: ćwierćrocznie na poczcie 2 mrk., z odnoszeniem do domu 2,25 mrk., pod opaską 2,50 mrk., w mieście w agencyi i w ekspedycyi 2 mrk., z odn. do domu 2,50 mrk.; w Austryi 3 kor., w Rosyi 1 rs. 50 kop. — Pojedyńczy numer 30 fen., 40 hal., 20 kop.

— **„Filarety,“** miesięcznika kulturalnego Młodzieży,“ wychodzącego rok trzeci w Poznaniu, opuścił prasę zeszyt pierwszy na styczeń i zawiera następującą treść: Bolesław Majchrzycki: Prawo własności a wywłaszczenie. — Rapsod: Muzyka programowa. — Ks. N. Cieszyński: Z poezyi wielkopolskiej. — A. Brodnicki: X. H. Kołłątaj. — Kazimierz Wierzyński: Śni mi się wiosna (Wiersz). — Spicygniew: Moskal niedaleko. — Ks. Nawrowski: Do młodości (Wiersz). Marya Kantakówna. Kniaziówna Ludmiła. — Przegląd piśmiennictwa. — Biuro informacyjne dla lekarzy. — Klub towarzyski w Poznaniu. — Młodzieży! — Z naszych czasopism. — Kronika. — Ogłoszenia.

Adres Redakcyi i Ekspedycyi: Poznań, ulica Rycerska nr. 38. Abonament na poczcie 90 fen. kwartalnie. Pod opaską 1,10 mrk. W Austryi 1,20 kor. W Rosyi 75 kop. W Ameryce 1,25 mrk.

„Filaretę“ wciąż jeszcze zapisywać można.

Poszczególne zeszyty „Filarety“ nabywać można w Ekspedycyi „Filarety“ Poznań, ulica Rycerska 38. — W Księgarni św. Wojciecha św. Marcin 69. — W domu Towarowym K. Ignatowicza Stary Rynek. Cena egzemplarza 30 fen.

Nadesłano.

— **Właścicielom hoteli, restauracyj i kawiarń** zwracamy uwagę na ogłoszenie Związku kelnerów Zj. Zaw. Polskiego, który założył własne swoje biuro bezpłatne celem dostarczania personalu.

Zarazem zaznacza się, że biuro to z płatnym pośrednikiem p. Olszewskim nic nie ma wspólnego.

— **Wielki katalog gazet, pierwszorzędna** encyklopedya, opuścił prasę staraniem **Inwalidendank w Berlinie,** biura ekspedycyi anonsów. Książka w eleganckiem wykonaniu obejmuje na 549-ciu stronach spis wychodzących gazet i pism fachowych w Niemczech i za granicą.

Niniejszą kartkę prosimy wyciąć i podać znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das I. Vierteljahr 1913 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste) **für 2,— Mark.**

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 2,— Mark erhalten zu haben, bescheinigt

............, den .... 1912.

Kaiserl. Post-..............................



Powrót powstańca-wygnańca ze Syberyi.

Powstanie styczniowe.

Nikczemny, najezdniczy, barbarzyński rząd rosyjski wydał w styczniu 1863 roku tajny ukaz nakazujący w Królestwie Kongresowem pobór do wojska wszystkich młodych ludzi, zdolnych do noszenia broni. Służba w wojsku rosyjskiem trwała wówczas 25 lat, a ukaz znaczył tyle co pozbawienie narodu całej męskiej młodzieży. Trzeba więc było albo rozpocząć bój natychmiast, bez należytego przygotowania, albo poświęcić całą ówczesną polską młodzież pod zaborem rosyjskim.

Młodzież jednak wcale nie miała ochoty iść na całe niemal życie w sołdaty i zaczęła uchodzić w lasy i kryć się w nich mimo mrozów i śniegów. Z Warszawy przeszło 1000 popisowych znalazło się w lasach sąsiednich, a za ich przykładem opuszczali też Warszawę gorętsi potryoci. Poczęły się tam tworzyć bezbronne oddziały, a młodzież drżąc z zimna, dodawała sobie otuchy śpiewając piosenkę z „Kosyniera:"

„Hej! czas zacząć już chłopacy,
Z serca zrzucić trwogę,
A Bóg rzeknie waszej pracy:
Toć i ja pomogę!"

Przeciwko gromadzącym się bezbronnym powstańcom szły już z Warszawy zbrojne hufce moskiewskiego wojska.

W powstaniu styczniowem wzięła zrazu udział tylko ludność miejska, niższe duchowieństwo, oficyaliści prywatni, drobniejsza szlachta. Właściciele ziemscy, włościanie i żydzi nie brali udziału. Do boju nie zgłosiło się na początku więcej jak 10000 młodzieży uzbrojonej tylko w myśliwskie i domowe strzelby, a w kasie Komitetu Centralnego było pieniędzy zaledwie 400 000 złotych polskich. Lecz wzruszał się podniecony naród, zapalała się do bohaterstwa młodzież, a przez ziemie polskie biegły i udzielały się wstrząsające zaklęcia, silne wezwania, gdy odczytywano i rozszerzano następującą odezwę Tymczasowego Rządu Narodowego z dnia 22-go stycznia:

„Nikczemny rząd najezdniczy, rozwścieklony oporem męczonej przezeń ofiary, postanowił zadać jej cios stanowczy: porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jej obrońców, oblec w nienawistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie.

„Polska nie chce, nie może poddać się bez oporu temu sromotnemu gwałtowi; pod karą przed potomnością powinna stawić energiczny opór. Zastępy młodzieży walecznej, młodzieży poświęconej, ożywione gorącą miłością Ojczyzny, niezachwianą wiarą w sprawiedliwość i pomoc Boga, poprzysięgły zrzucić przeklęte jarzmo lub zginąć!



Waleryan Woydt z Poznania był w obozie Mieleckiego pod dowództwem Calliera, w kompanii kapitana Sikorskiego, ranny w krwawej potyczce pod Pontnowem przy młynie wodnym Olszaku, a po wyleczeniu więziony przez półtora roku, najpierw w cytadeli poznańskiej na Winiarach a potem w Hausvogtei w Berlinie.

Za nią więc narodzie Polski, za nią!
„Po strasznej hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach ucisku, Centralny Narodowy Komitet, obecnie jedyny legalny Rząd twój Narodowy, wzywa cię na pole walki już ostatniej, na pole chwały i zwycięstwa, które ci da i przez imię Boga na niebie dać przysięga, bo wie, że ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem!

„W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierwszej chwili rozpoczęcia świętej walki,

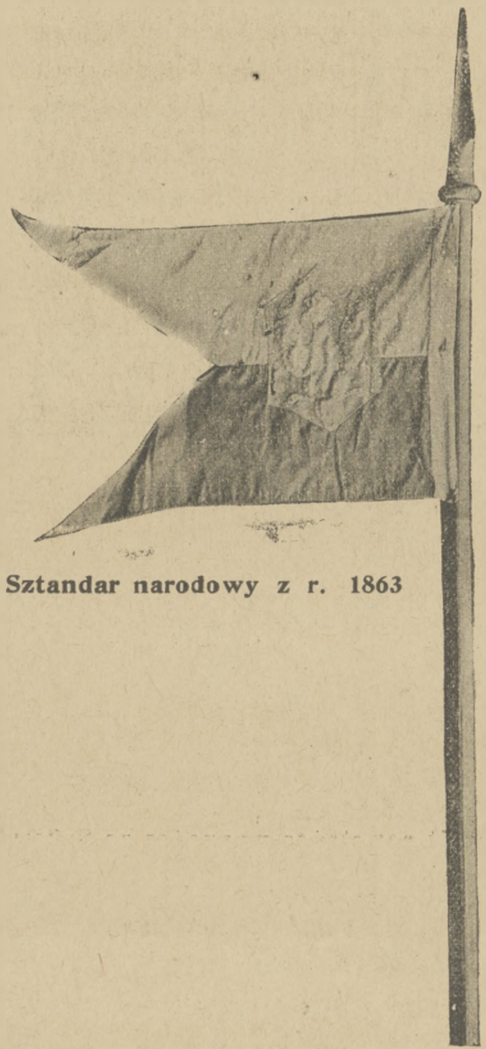


Sztandar narodowy z roku 1863.

Komitet Centralny Narodowy ogłasza wszystkich synów Polski bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju. Ziemia, którą lud rolniczy posiadał na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wieczystem; właściciele poszkodowani wynagrodzeni będą z ogólnych funduszów państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy wstępujący w szeregi obrońców kraju lub — w razie zaszczytnej śmierci na polu chwały — rodziny ich otrzymają z dóbr narodowych, dział obronionej od wrogów ziemi.“

Lecz przy tym świętym zapale, namaszczeniu i bohaterstwie, jakie przejmując naród, tryskały z odezwy, nader szczupłe były wojenne środki powstańcze.

Rosya zaś miała doskonale zaopatrzoną armię regularną, wynoszącą w



Sztandar narodowy z r. 1863

Królestwie 90000 ludzi. Głównodowodzącym tej armii był generał Ramsay.

Imię Polski, imię wolności, tak wówczas działało silnie, iż zamieniało małych chłopców w bohaterów, ludzi nieznających rzemiosła wojennego, przeistaczało w starych, nieustraszonych żołnierzy, a matkom ówczesnym taki hart wlewało w serca, iż słały w bój najukochańszych jedynaków, rozkazując im zwyciężyć lub zginąć.

Męstwo powstańców było nadludzkiem, mianowicie na Podlasiu, gdzie garnęła się do powstania liczna drobna szlachta i włościanie. Powstańcy skupili się w Białej i w Węgrowie pod naczelnem dowództwem Ignacego Mystkowskiego. Gdy nieprzyjaciel nadciągnął z 6 działami, dwustu powstańców stanęło przed Węgrowem, by powstrzymać dążących od Moskobod Moskali. Rażeni ogniem z dział rzucili się ci nieustraszeni młodzieńcy na artylerzystów i rozpędzili ich. Ale wpadły na nich tłumy wojska, a oni, broniąc się zawzięcie, zginęli wszyscy bohaterską śmiercią pod bagnetami rosyjskiemi. Wzruszony tem nadludzkiem męstwem bohaterów polskich jeden z oficerów rosyjskich zawołał wtedy:

— Gdyby ci rycerze mieli broń i byli zorganizowani w oddziały regularne, żadna europejska armia nie byłaby zdolna im podołać i nie mogłaby się oprzeć ich strasznemu zapałowi i męstwu.

Wobec takiego bohaterstwa i męstwa pomimo niezmiernej przewagi najezdników walka trwała niemal półtora roku a wśród niej jaśniały zwycięstwa oręża polskiego, odnoszone nad pięćkroć nieraz liczniejszym nieprzyjacielem, jak pod **Staszowem, Pyzdrami, Nowąwsią, Kobylanką, Zyzynem, Salichą** i na wielu, wielu innych miejscach.



Sztandar narodowy z roku 1863

Nadarmo car słał coraz nowe wojska na Polskę, nadarmo wysłał dwóch katów — generała Murawiewa, którzy barbarzyńskiem znęcaniem się nad bezbronnymi usiłowali zastraszyć obrońców wolności — walka nie ustawała. Ustała wówczas dopiero gdy jeden z celów powstania został osiągniętym, gdy lud rolny stał się społecznie wolnym. Rząd narodowy, jak powiedzieliśmy wyżej, rozpoczynając bój w dniu 22 stycznia 1863 roku, ogłosił zniesienie pańszczyzny — car zaś wydając w piętnaście miesięcy później ukaz z dnia 2 marca 1864 roku o uwłaszczaniu włościan, tem samem zgodził się na żądanie Rządu narodowego i zniesienie pańszczyzny zatwierdził.

Powstanie więc 1863 i 64 roku nie było bezowocnem i odniosło częściowe chociaż zwycięstwo, któremu lud nasz zawdzięcza swą wolność społeczną.

Drugiego celu swojego: zrzucenia jarzma moskiewskiego i wywalczenia Polsce niepodległości nie osiągnęło,

gdyż dzięki brance, o której wspomnieliśmy wyżej, rozpoczęło się zawcześnie bez należytego przygotowania. Wskutek tego z jednej strony brakowało broni i innych środków walki, z drugiej lud nie był należycie uświadomiony, nie zrozumiał o co bój się toczy i nie stanął dość licznie pod chorągwiami wolności. Wobec tego tem większa należy się cześć i wdzięczność tym bohaterom i męczennikom, którzy zmusili cara do zniesienia pańszczyzny.

Moskale za wydarte ludowi naszemu pieniądze, postawili w Częstochowie pomnik ówczesnemu carowi Aleksandrowi II-mu i chcieli w świat wmówić że to on lud oswobodził. Był to fałsz i podłe kłamstwo; car wydał ukaz 2-go marca 1864 roku, bo go wydać musiał, by kres położyć nieustającej walce; prawdziwymi oswobodzicielami ludu w zaborze moskiewskim, to Rząd narodowy i polscy powstańcy, to bohaterowie i męczennicy ostatniej naszej walki orężnej, którym należy się cześć i chwała.

Rok 1863.

(Ze śpiewów historycznych.)

Polska w boju.

Już ogarnął bój dokoła
Polską naszą ziemię...
Zrzuca pęta kraj nasz miły,
Zrzuca jarzma brzemię.

Tu, to owdzie huk wybucha,
Słychać wrzenie bitwy —
Powiewają orły białe
I pogonie Litwy!

W lasach, w borach, brzęczą kosy,
Ognie płoną w kniei,
Znowu leci w niebogłosy
Piosenka nadziei!

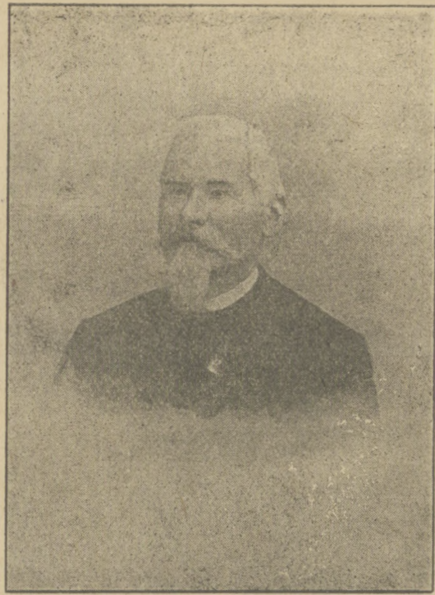
Rozbudziły się na gniazdach,
Nocą senne ptaki —
Wpadł Langiewicz i Moskalom
Dał się tęgo w znaki!

W całej Polsce bój wybucha
Od łana do łana —
Niechże Bóg ci dopomoże,
Ojczyzno kochana!

* * *

O Maryanie Langiewiczu.

A Langiewicz w górach siedzi,
W Świętokrzyskich górach.
Zbił Moskali w Bodzentynie,
Zbił ich na Mazurach.



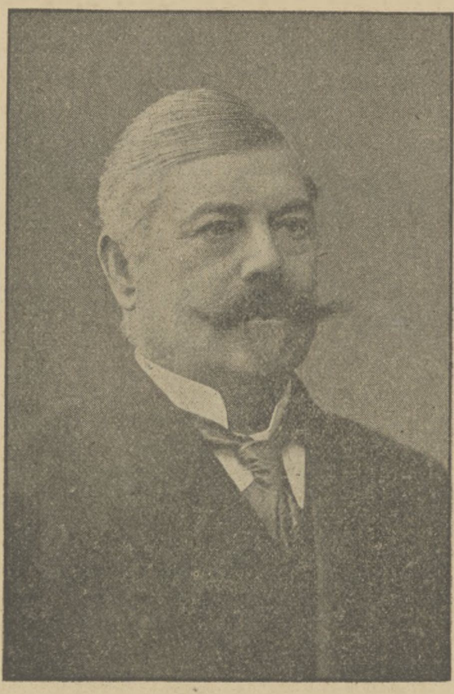
Leon Król z Kórnika
był w obozie Jounga, walczył w bitwie pod Nowąwsią, następnie dostał się do oddziału Seyfrieda, zastrzelił dowódzcę rosyjskiego, był ranny w rękę pod wsią Niewieżem, a następnie wyleczony wiele jeszcze przecierpiał dla sprawy narodowej.

Tam pod Jedlnią, pod Szydłowem,
Krzyżują się drogi
Tam z drużyną swą Langiewicz
Mężnie bił swe wrogi.

Oj wy lasy, oj wy góry,
Głośne echa macie
Wy Maryana Langiewicza
Imię powtarzacie.

Dyktatorem się ogłosił,
Lecz pierwej był długo
Bohaterem i żołnierzem,
I ojczyzny sługą!

Póki góry Świętokrzyskie
Będą w Polsce stały;
Póty imię Langiewicza,
Swej nie zbędzie chwały!



M. Zakrocki z Swadzimia pod Poznaniem,
Jako dziewięcioletni malec za daną pomoc powstańcom na Litwie od Moskali skatowany okrutnie
Fot. At. „Rubens.“

Bój pod Węgrowem.

Na Podlasiu pod Węgrowem,
Wody Liwca płyną,
Tam się bije dzielny Sokół,
Ze swoją drużyną.

Tam się bije dzielny Sokół,
Lecz go Moskwa dusi,
Jeśli partję ma ocalić,
To uchodzić musi.

Musi z jawnej wywieść zguby
I broń i żołnierzy...
Lecz kto odwrót ten zakryje,
Gdy Moskwa uderzy?

Dwustu zuchów się zebrało
Z partji na ochotę,
— Idźcie bracia! Już my w Moskwie
Damy tu robotę! —

I jak burza, tak wpadają
Na armaty wroga —
Poszły w popłoch kanoniery,
Krzyczą: Radi Boga! —

Myśli Moskwa, że to Sokół
Wziął ich w te obroty,
Już się walą czarną rzeką
Te piechotne roty...

Stoją mężnie młode zuchy,
Bój się wszczął zajadły...
Do jednego bohatery
W walce owej padły.

Do jednego padły w walce,
Męczeńską drużyną —
Ale Sokół uszedł z swymi.
Tak to u nas giną!

Obcy piewca) cześć oddając,*
Takiej męstwa sile,
Nazwał bitwę pod Węgrowem;
— Polskie Termopile! —

Jan Sawa.

*) August Barbier, poeta francuski

Moskal niedaleko.*)

Moskal niedaleko... Gwar, hałas, krzyki w naszej wiosce — a już najbardziej w kuźni, u ojca! Co za ruch na podwórzu! Tam młodzieniec z rozpromienioną twarzą, z błyszczącemi oczyma woła: „Bóg dopomoże! Pobijemy Moskala!“ Tu przy studni cała zgraja rozprawiających o przyszłem spotkaniu, o pierwszem starciu:... „Już

*) Powyższy obrazek, skreślony podług wspomnień chłopaka z roku 1863-go, wyjęty z 1-go zeszytu r. b. „Filarety“, miesięcznika kulturalnego Młodzieży, wychodzącego rok 3-ci w Poznaniu i umiejętnie redagowanego.

Młodzież gimnazyalna z roku 1860,
prawie wszyscy późniejsi uczestnicy powstania styczniowego.



Stoją od lewej strony, od okna począwszy:
1. Ś. p. Bronikowski, 2. ś. p. Floryan Stablewski, późniejszy ks. Arcybiskup i Prymas, 3. ś. p. Filip Skoraczewski, 4. ś. p. Dr. Roman Szymański, właściciel i redaktor „Orędownika“, 5. ś. p. Tomasz Śniegocki, 6. ś. p. Dr. Osowicki, radca zdrowia w Poznaniu, 7. ś. p. Tułodziecki, literat i księgarz w Poznaniu, 8. ś. p. Stanisław Arndt, literat. 8. ś. p. Dr. Borowski, lekarz w Krotoszynie.
Siedzą, od okna począwszy:
1. Nitsche, 2. Nędzewicz, (nie wiadomo czy żyją). 3. ś. p. Haunszyld, umarł jako ks. wikaryusz w Mogilnie, 4. ś. p· Kostański, poległ na polu chwały w roku 1863

niedaleko!“ „Pojutrze przybędzie!“ „Może i my już pojutrze będziemy się bili!“ Takie i tym podobne urywane zdania dolatują mi do uszu. Tam na ławce siedzi stary, siwy Walek i opowiada o dawnych wyprawach, o dawnych bitwach, o dzikich Moskalach. Tu samotny chodzi Maciej, silny, trzeźwy chłop, znany ze swej mądrości i zapewne myśli, czy pobijemy Moskala — czy siły wystarczą — czy też.... o nie daj Boże!! — — — — —

Prawie cała wieś zeszła się na podwórze — do kuźni. Wielu jest już uzbrojonych w kosy, lśniące w promieniach wiosennego słońca. Zaledwie tu i owdzie widzę karabin. Z twarzy wyczytać mogę, iż wszyscy chcą bić — bić Moskala — albo zginąć. Wszyscy chcą do ostatniego tchnienia bronic rodziny, ziemi ojczystej jako rzeczy świętej!

Między wszystkimi wyróżnia się — postać silna wysoka ojca mego; rękawy koszuli zawinięte — twarz omurzona od pracy, dlatego oczy ogniste jeszcze więcej lśnią i błyszczą.

Pracuje — wciąż, pracuje bez przerwy, i tylko raz po raz odpowiada na życzenia przychodzących chłopów:

„Daj Panie Boże!“ I kuje dalej — a echo huku żelaza daleko, het daleko się rozlega.... Czy ojciec się nie boi?? — Moskal niedaleko!....

Moskal niedaleko.... Może przy stawie, za chałupą Jontka, tam gdzie cyganie zawsze stawali... tam gdzie pokazywali swoje cuda;.... tam i Moskale będą... Lecz nie! Jak mogą ci Moskale, których znałem z opowiadania ojca, dziadka i starego Walka, jak mogą oni się wstrzymać od napadów, od rabunków... Jak mogą za chałupą Jontka być....

Coś... nieznanego — dziwnego ciągło mnie w tę stronę, skąd oni przyjść mają. Może Moskala zobaczę... i może poproszę, żeby nie zapalił chałupy naszej. — I ten dziwny głos przemógł, opuszczam to gwarne miejsce; — nikt nie zauważa tego — idę — uciekam — lecę do Moskala, bo on niedaleko.

Ale przy stawie go niema... Idę dalej. — Jak Moskal wygladą? — Dziki, brodaty, bez Boga, bez krzyża — bez szkaplerza! — Pali — zabija — kradnie — morduje! — Czy mnie zabije? — Nie mam trwogi! Chciałbym go zobaczyć! Ten pagórek wszystko zasłania.

Nic nie widzę. — Lecę pod górę. Tam wszystko zobaczę! — Całą okolicę! Lecę szybciej!! Jeszcze kilka skoków i już jestem. — W pierwszej chwili niczego nie zauważyłem... Potem widzę jezioro... to znów dwór — pałac — za drzewem wieżę kościelną... ale tam... — co to? za Bożą Męką pod borem!! Czy nie unosi się dym?? — Lecę dalej — prawda, to dym! Coraz to lepiej widzę! Moskal niedaleko — tam pod borem na łące! Wtem przedstawia mi się obraz, którego nigdy nie zapomnę....

Głęboko wrył się w mą pamięć!! Cała zgraja dzikich ludzi, żołnierzy przed borem! Nie spostrzegli mnie... Gotują — piją — i hałasują — śpiewają... Choć pora wiosenna — czapki baranie na głowie, długie szable przy boku. To oni — to Moskale!! A tam przy drzewie — małe, niespokojne — ogniste konie! — — Moskale! to ci, którzy tylu pomordowali — co już tyle złego..... Taka nienawiść — taka złość ogarnęła serce me, że chciałbym się rzucić na nich — lecz — gdybym był większy!!

Rozmaite myśli przelatywały mi z błyskawiczną szybkością przez głowę! Co począć? Widzę ich! Lecz — co potem?....

Nagle obracam się i pędzę co sił ku naszej wiosce, do naszych, do domu — do ojca. Myślę: wypędzić Moskala stąd! i biegnę prędzej i lecę szybciej ku wiosce. Zawołam na ludzi, a oni ostremi kosami pobiją — wyrżną Moskala. Lecę i już jestem przy stawie, już we wsi!

Jak szybko pędziłem! Ludzie przed kuźnią mnie zatrzymują... Jestem zadyszany... pytają mnie.... nic nie odpowiadam... nie zważam na nich...

Tam ojciec z Maciejem... stanąłem... otwieram usta... słowa wydobyć nie mogę... Nareszcie wołam: „Moskal niedaleko!“

„Ależ chłopaku to wiemy!“ odpowiada ojciec. „Pojutrze tu będzie!“ dodaje mądry Maciej. A ja na to: „Moskal pod borem!“

„Co ty gadasz!“ „Śniło ci się!“ „Widziałem ich, gotują — piją — hałasują; — cała zgraja, policzyć nie mógłem.“ Teraz dopiero uwierzono mi i słowa te ogromne wywarły wrażenie na nich. Wszyscy w około mnie stoją dopytują się — odpowiadam; — hałasy — krzyki, niektórzy jeszcze nie wierzą... Ojciec tylko głowy nie stracił i potężnym głosem krzyczy:

„Cicho! Prędko moje kosy gdzie zagrzebać. Na wóz i potem za wiatraki! Michał da konia i wóz!“ Zgodzili się wszyscy. I tak się stało. Ja też jechałem. Uważano mnie już za starszego. Kosy zakopano za wiatrakami.

Gdyśmy z powrotem jechali, już Moskale szukali czegoś w kuźni u ojca. Nic nie znaleźli.

Zostawili nas w spokoju. Poszli do oberży, spili się jak nieboskie stworzenia i pojechali.

Nazajutrz wszyscy nasi po cichu wyruszyli z wioski. Przedtem mówili do ojca, wskazując na mnie: „Z tego chłopaka będzie człowiek nie lada! Ma głowę na karku!“ A ksiądz proboszcz w niedzielę pogłaskał mnie mówiąc: „Toś ty przyniósł nowinę: „Moskal niedaleko, pod borem! Dzielny z ciebie chłopak!“

I podarował mi obrazek święty...

Śpicygniew.

„Jeszcze nie zginęła!“

(Śpiew historyczny.)

Jako w polu przeoranem,
Siew runieje wiosną,
Tak i w mężnych polskich sercach
Znów nadzieje rosną.

Śpiewa żołnierz na widecie,
Śpiewa u ogniska,
A Ojczyzny imię drogie,
Jak gwiazda mu błyska!

Aż z nadziei urodzona,
Piosenka wionęła
Nad Legiony nasze dzielne:
„Jeszcze nie zginęła!...“

Kto ją pierwszy tam wyśpiewał,
Nikt już dzisiaj nie wie —
Ale żyje duch Legionów
W tym nadziei śpiewie.

Przeleciała piosnka góry,
Przeleciała morza —
Zaświtała w ziemi polskiej,
Jak nadziei zorza.

Choć nas przemoc gnębi wroga,
Choć nam głos odjęła,
Lata piosnka nad polami:
— „Jeszcze nie zginęła!“
1798. *Jan Sawa.*

Grupa młodzieży gimnazyalnej z roku 1862.



Siedzą: Tomasz Śniegocki i Filip Skoraczewski, stoją: Aleks. Herbst i Byczewski. Aleksander Herbst i Byczewski zginęli w powstaniu r. 1863. Filip Skoraczewski został skazany za udział w temże powstaniu na śmierć, lecz później ułaskawiony. Z wyjątkiem Filipa Skoraczewskiego, który uczęszczał do gimnazyum najprzód w Lesznie, a później w Poznaniu, inni uwidocznieni na rycinie młodzieńcy byli gimnazyastami trzemeszeńskimi.

Jaworówka.

(Obrazek ze styczniowego powstania)

Było to przy końcu roku 1863.

Powstanie na Litwie gasło już w potokach krwi, wytoczonej z narodu przez wielkorządcę litewskiego Murawiewa-Wieszatela, jeden tylko niestrudzony bojownik za ojczyznę i wiarę, ksiądz Maćkiewicz, trzymał się jeszcze ze znaczniejszą partyą, wyślizgując się jak wąż ścigającym go bez wytchnienia Moskalom i uderzając na nich wtedy, gdy go się najmniej spodziewali, i od czasu do czasu drobne oddziały powstańcze przewijały się tu i owdzie po lasach.

Jaworówka, wieś w Grodzeńskiej gubernii, złożyła hojną ofiarę na ołtarzu rwącej się z żelaznych pęt ojczyzny. Na pierwszą wiadomość o tworzeniu się zbrojnych partyj dziesięciu najtęższych, najdzielniejszych parobków pożegnało rodzinną wieś, by łączyć się z braćmi i nadstawiać piersi za wolność swoją i tych wszystkich, którym wiek lub słabe siły nie pozwalały brać czynnego udziału w walce.

Z tych dziesięciu ani jeden nie wrócił pod ojczystą strzechę. Ośmiu poległo pod moskiewskiemi kulami, dwaj powrócili jako jeńcy i po to tylko, aby zginąć na szubienicy, a trupy ich pod ochroną straży długo potem wisiały dla przykładu na środku błonia, przypominając się sinemi obliczami sercu zgrzybiałych matek i ojców.

Była ciemna i słotna noc listopadowa. Jesienny wiatr jęczał w kominach i między opłotkami, a za każdym silniejszym jego podmuchem na wpół objedzone z ciała trupy chwiały się ze skrzypieniem w powietrzu, płosząc stada kruków, które siedziały na szubienicy, oczekując z upragnieniem nadejścia dnia, by przystąpić do przerwanej, rozkosznej biesiady.

Na progu jednej chaty z twarzą zwróconą w stronę błonia, siedziała skulona postać niewieścia. Siadywała tak na tem miejscu każdą noc od wieczora do rana i każdy dzień od rana aż do wieczora od dość już dawna, od chwili, gdy jej jedynakowi, jej Pawlusiowi katowska ręka zarzuciła powróz na białą szyję.

I teraz nieczuła na zimno i słotę, siedziała nieruchoma, z palcami zatopionemi w resztkach siwych włosów, wytężając zapadnięte, wypłowiałe od łez oczy w stronę pamiętnego dla siebie miejsca. Gęste mroki chmurnej nocy nie pozwalały jej nasycać wzroku widokiem tego, który nawet w trupiej ohydzie nie przestawał być dla niej najdroższą krwią z krwi i kością z kości.

Chwilami tylko do słuchu jej dolatywało skrzypienie szubienicy, łopot skrzydeł i wrzask zaniepokojonego w śnie ścierwojadnego ptactwa, a od każdego tego odgłosu stare jej serce skręcało się w piersiach jak powróz, na którym bujał między niebem i ziemią trup jej pierworodnego.

Naraz z mroków wynurzyła się jakaś postać męska i w niepewności zatrzymała się o parę kroków od kobiety, która słyszała chlapanie nóg po rozmiękłej ziemi, spostrzegła cień przed sobą, lecz nie poruszyła się, nie wydała głosu, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co się dookoła niej dzieje.

Nieznajomy zawahał się przez chwilę, wytężył wzrok, rozglądając w ciemnościach siedzącą bez ruchu postać, wreszcie zbliżył się i dotknął z lekka jej ramienia.

— Wyście z tej chaty? — zapytał cicho.

Kobieta podniosła ku niemu głowę, lecz nie odzywała się.

— Co wyście? — zapytał znów — czy gospodyni tej chaty?

— Czy ja gospodyni? — zaczęła naraz — aha, gospodyni, gospodyni... Oj, gospodyni!... Poleciał mój gospodarz, poleciał sokół i buja sobie na wolnym świecie, ot tam buja — na szerokiem błoniu, a ja jego gospodyni i siedzę tu na progu i siedzę i pilnuję mu gospodarstwa, oj pilnuję, pilnuję, ha, ha, ha!...

Zaczęła się śmiać jakimś naderwanym, pełnym łkania śmiechem, potem ucięła naraz, chwilę przemilczała, wreszcie zapytała zmienionym, cichym głosem.

— A wy sami co jesteście?

— Ja z lasu... Nas tu kilku jest.

— A, z lasu! I mój chodził do lasu, ale powrócił już do starej matki i już więcej nigdy, nigdy od niej nie odleci!... I ucieszny teraz taki, żebyś ty widział, dobry człowieku, jaki on ucieszny! Cały dzień tańcuje mi jeno przed oczami, pokazuje mi się na wszystkie strony, to zębami błyśnie, to znów ręce do mnie wywinie... I blizko jest, na każde zawołanie mogę mu się napatrzeć, tyle tylko, że lecieć do niego nie mogę, tyle, że nie mogę!...

Nieznajomy pochylił się naraz do jej ręki i złożył na niej pełen czci i serdecznego współczucia pocałunek.

— Biedna matko!... Ale nie ty jedna...

— Tyle, że nie jedna —szepnęła cicho — że nie jedna!...

Zamilkli oboje, a po chwili nieznajomy odezwał się znów nieśmiało.

— My tu mamy z sobą jednego ciężko rannego towarzysza. Chcielibyśmy zostawić go gdzieś w bezpiecznem miejscu, a sami iść, aż do ostatniego tchu...

— Ale widzę, wy macie dość własnej troski!

Kobieta powstała naraz szybko i pochwyciła go za rękę.

— A pójdziecie, pójdziecie? Dobrze, idźcie, do ostatniego tchu!... Za mojego Pawlusia, za wszystkie osierocone matki, do ostatniego tchu. I ten wasz chory pójdzie niedługo, ja go wygoję, wypielęgnuję, własne życie tchnę w niego, byle jeno mógł iść, za mojego Pawlusia, za nas wszystkich, za wszystko. Gdzie on jest, ten nieboraczek? — nieście go tu do chaty i sami też, nakarmię was, ogrzeję, żeby wam przybyło mocy, mocy za tych wszystkich, którzy już wam nigdy nie będą pomagać!

Ożywiła się, sama pomogła przenieść rannego, który leżał na płaszczu w krzakach tuż za wsią, w otoczeniu kilku towarzyszów, — wkrótce cała niewielka gromadka zebrała się w chacie.

Kobieta zasłoniła szczelnie okna, poczem dopiero rozpaliła na kominie ogień i ponastawiała w garnkach wszystkiego, co się tylko mogło znaleść w jej gospodarstwie.

Choremu przyrządzono od razu pościel w przylegającej do izby komórce. Zaglądała do niego co moment z ogarkiem w ręku i odgarniając mu z czoła bujne sploty ciemnych włosów, wpatrywała się ze łzami w jego delikatną, chłopięcą niemal twarz z oczami błyszczącemi gorączką, ze śladami wielu przebytych trudów, o głodzie spędzonych dni i nieprzesypianych nocy.

— Tak mój Pawluś! — szeptała. — Takie same włosy, taka sama biała, jak u panienki twarz. I pochylając się nad nim, składała na jego czole drżącemi ustami macierzyński pocałunek. — Nie bój ty się, nieboraczku — mówiła — wydobrzejesz ty u mnie prędko, nie dam ja cię jeszcze śmierci przed czasem!

Tymczasem przybyli zażywali całą duszą wypoczynku. Dawno już nie wypoczywali w ciepłej, suchej izbie, oddawna wilgotna ziemia służyła im za pościel, a zimny wiatr za pożywienie. I skupili się teraz koło ognia, suszyli na sobie odzież, z lubością wyciągali do dobroczynnego ciepła zziębnięte członki.

Kobieta zaczęła wyciągać ze skrzyni i rozkładać przed nimi czystą bieliznę.

—Bierzcie — mówiła — niech was robactwo nie zjada. Mnie już bo się na nic nie zda. To po moim Pawlusiu. Nie wstydźcie się! Wprawdzie on był chłop tylko, a wy może panowie z urodzenia, ale on już się z wami zbratał, on nawet teraz lepszy już od was, bo położył za swoją ziemię wszystko, co miał, życie położył!

Wszyscy zaczęli cisnąć się do niej i dziękować gorąco.

— Niech wam Bóg ześle osłodę w waszem sieroctwie, jeżeli tylko może być dla was jaka osłoda. Nie mówcie nam o naszem państwie, bo myśmy wszyscy bracia, dzieci jednej matki, wszyscy jednako biedni i jednako z najdroższych praw wyzuci!

Zaczęli zdzierać z siebie przywierające do ciała, zeszkorupiałe od brudu i potu szmaty, które im służyły za bieliznę i każdemu wydarło się z piersi westchnienie ogromnej ulgi, gdy poczuł na sobie suchą, miękką koszulę.

Tymczasem strawa była gotowa. Zjedli do ostatniego okruszka, poczem gospodyni zaprowadziła ich do szopy, gdzie zakopawszy się w słomę przespali kamiennym snem resztę nocy i cały następny dzień.

Następnej nocy posilili się znów nałeżycie i pożegnawszy raz jeszcze towarzysza opiece biednej staruszki, wzmocnieni, jakby na nowo na świat narodzeni, poszli dalej w świat szukać zbawienia lub śmierci.

Ranny młodzieniec pod wpływem troskliwej pielęgnacyi szybko zaczął powracać do sił i zdrowia. Staruszka przestała już nawet przesiadywać dnie i noce na progu chaty, za to ciągle przebywała obok chorego, doglądała go tak, że i matka rodzona nie mogłaby lepiej. I już chory zaczął powstawać na nogi, już coraz częściej wspominał o chwili odejścia w ślad za towarzyszami, gdy naraz.

Za wydawanie w ręce moskiewskie ukrywających się powstańców była naznaczona nagroda. Jeden z sąsiadów staruszki zauważył nagłą zmianę jej postępowania, zaczął podglądać, parę razy podsunął się nocą pod ścianę komórki, znalazł szparę, przez którą dokładnie było widać, co się dzieje wewnątrz.

Judaszowe srebrniki obłąkały jeszcze jedną nieszczęsną duszę ludzką.

I pewnego wieczora, gdy staruszka wyszła na chwilę z domu, a młody bojownik wolności próbował swoich sił, chodząc wolnym krokiem od drzwi do okna i z powrotem, do izby wtargnęło czterech moskiewskich żandarmów. Ujrzawszy ich młodzieniec chwycił w obie ręce ławkę — pierwszą broń, jaka mu się nadarzyła, lecz siły były zbyt nierówne. Po krótkiej, pełnej rozpaczy walce, padł ogłuszony uderzeniami, w moment skrępowali go powrozami, zaczęli wlec za sobą.

W tej chwili stanęła w progu staruszka. Ujrzawszy, co się dzieje, krzyknęła dzikim głosem i bez namysłu rzuciła się z paznokciami do twarzy najbliżej stojącego. Wszystko dla niej znikło w tej chwili, widziała tylko przed sobą morderców jedynego dziecięcia, pchała ją dzika nienawiść mszczącej swoje sieroctwo matki.

Posypały się na nią wściekłe razy, lecz ona nie puszczała, zdawało się, nie była zdolna rozprostować kurczowo zakrzywionych jak jastrzębie szpony palców.

Dopiero ostatnie uderzenie kolbą karabina, wymierzone wprost w ciemie, uśmierciło ją. Zesztywniała naraz, ręce obsunęły jej się wzdłuż ciała, i padła bez jęku na wznak.

Sprawa młodego powstańca nie mogła być rozpatrzona zwykłą koleją przez miłościwy rząd, to jest nie pociągnął wraz z innymi szlakiem śmierci na Sybir, gdyż zaraz w parę dni po aresztowanu skonał na kibitce po drodze do Grodna wskutek wstrząśnienia mózgu.

Jednakże raport o całem tem zajściu doszedł z czasem do wiadomości Murawiewa, którego krwiożerczość nie znosiła tego, by jakaś zbrodnia lub przelew krwi stały się bez jego współudziału lub przynajmniej bez jego wiedzy.

I serce srogiego kata zawrzało oburzeniem.

— Jakto, więc niedość im było przykładu przez doraźne wymierzenie kary na dwóch z pośród nich, jeszcze teraz chcą się bawić w przechowywanie całych „band" rozbójniczych! Dobrze, ja im dam lepszą nauczkę.

I wysłał zaraz do Grodna rozkaz: „całą wieś Jaworówkę spalić ze wszystkiem, co się w niej znajduje, zgliszcza zaorać, żeby i śladu z niej nie zostało, wszystkich mieszkańców bez różnicy płci i wieku zesłać na Sybir."

Rozkaz ten wykonano z wielką skwapliwością.

I pewnej grudniowej nocy, gdy cała wieś pogrążona już była we śnie głębokim, do każdej chaty zaczęli się dobijać uzbrojeni nahajkami Kozacy. Powstał lament i trwoga nie do opisania, w pierwszej chwili przerażeni ludzie myśleli, że nadeszła już dla nich ostatnia godzina.

Nie dając ani chwilki czasu do opamiętania, pozwoliwszy zaledwie chwycić coś nie coś z odzieży, zaczęto wszystkich wypędzać z chat. Kto się opóźniał, tego nahajki zmuszały wnet do pospiechu, chorych nie mogących wyjść o własnej sile, wywlekano za nogi jak worki plew, kilkoro niemowląt wyrzucono z kołysek przez okno.

Wreszcie cała gromada, otoczona łańcuchem konnych Kozaków, znalazła się na błoniu i wówczas naczelnik dowodzący tą wyprawą, ogłosił wszystkim, co ich oczekuje.

Jednocześnie w kilkunastu miejscach naraz buchnął ogień.

Ze wszystkich piersi wydarł się jeden okrzyk niezmierzonej rozpaczy i bólu. Cały krwawą pracą nabyty dostatek, stare ich gniazda rodzinne, gniazda, w których ujrzeli światło dzienne, i w których przeżyli swój wiek ich ojcowie i dziady, wszystko to musiało iść na pastwę płomieni.

Cała gromada padła na kolana, starcy wyrywali z głowy białe włosy, matki wyciągały ku niebu gorejącemu krwawą łuną, drżące od zimna niemowlęta, jakby Boga samego chciały wezwać na świadka krzywdy, która spadała na ich niewinne głowy.

Tymczasem strumienie ognia rozszerzały się szybko, zlewały się w jedno rozszalałe, huczące morze płomieni, unoszących się z kłębami dymu w obłoki, to znów ścielących się za wiatrem po ziemi długiemi, krwawemi językami.

Naczelnik wyprawy, uznawszy zapewne, że ludzie dostatecznie wrazili sobie w pamięć naukę i nigdy więcej nie zechce im się postępować wbrew życzeniom miłościwego rządu, dał znak do pochodu. Pochód ruszył, lecz pomimo kozackich nahajek, spadających gęsto na plecy, postępował bardzo wolno. Z każdym krokiem naprzód ogólny płacz zwiększał się, serca zalewały się w piersiach bezbrzeżnym żalem, oczy nie mogły się oderwać od tego miejsca, z którem trzeba było rozstać się na zawsze, na zawsze.

I naraz w oczach wszystkich stał się cud.

Od strzelających snopami na wszystkie strony iskier włosy na głowach obu powieszonych zajęły się. Cały pochód, kozacy, a nawet sam naczelnik zatrzymali się bez ruchu. Zawieszone wysoko w powietrzu, oblane purpurowem odblaskiem pożaru trupy z gorejącemi jak korony męczeńskie włosami nad czołem, wydały się naraz wszystkim jakiemś cudownem zjawiskiem, jakimś znakiem Bożym.

— Błogosławieni, którzy cierpią! odezwał się jakiś głos z tłumu i naraz ze wszystkich piersi jakby za uprzednim porozumieniem rozległ się zgodny chór:

„Kto się w opiekę odda Panu swemu..."

Wszyscy śpiewający wznieśli oczy ku górze, pieśń rosła, jak grzmot uderzała w niebo.

Kozacy postępowali obok cicho z ponuro zwieszonemi głowami.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 19-go stycznia 1608 śmierć Bernarda Maciejowskiego, kardynała. — 1789 usunięcie rady nieustającej. — 1831 Chłopicki złożony z dyktatury.

Dnia 20-go stycznia 1319 koronacya Władysława Łokietka. — 1507 uroczysty wjazd Zygmunta I. do Krakowa. — 1831 obywatele Litwy i Rusi podają adres do sejmu. — 1831 Radziwiłł naczelnym wodzem.

Dnia 21-go stycznia 1504 ogłoszenie statutu Aleksandra. — 1556 Zjazd dyssydentów w Sycyminie. — 1633 hołd kurfürsta brandenburskiego.

Dnia 22-go stycznia 1525 powstanie w Gdańsku. — 1600 śmierć Jerzego Radziwiłła, biskupa krakowskiego. — 1816 pierwszy sejm prawodawczy rzeczypospolitej krakowskiej. — 1863 wybuch powstania styczniowego.

Dnia 23-go stycznia 1227 założenie klasztoru Dominikanów w Gdańsku. — 1440 Węgrzy zapraszają na tron Władysława III. — 1510 Bogdan, wojewoda Multan, zapewnia Polakom wolny handel w Besarabii. — 1649 Jan Kazimierz potwierdza prawa koronne. — 1824 Onacewicz wyświeca publicznie łotrostwa Nowosilcowa.

Dnia 24-go stycznia 1496 nadanie niektórych ziem Konradowi, księciu mazowieckiemu. — 1507 koronacya Zygmunta I. — 1667 sejm odrzuca wniosek o obranie królem księcia Kondeusza. — 1668 ostatni sejm za panowania Jana Kazimierza. — 1706 bitwa ze Szwedami pod Grodnem.

Dnia 25-go stycznia 1548 poselstwo pruskie na sejmie w Piotrkowie. — 1588 zniesienie i wzięcie do niewoli Maksymiliana. — 1610 pobicie Moskwy pod Ulą. — 1684 śmierć hetmana Jana Ogińskiego. — 1831 detronizacya Mikołaja.

Humor i satyra.

Dwie ofiary.

Kazia i Jadzia, dwie przyjaciółki.
Nieco mizerne i blade,
Wynicowały zawsze, do spółki,
Znajomych całą gromadę.
— Ten sympatyczny, ten żonie psoci,
— Tamta wśród śliskiej mknie drogi...
— Tamten wygląda jak ogon koci...
— A tamta krzywe ma nogi...
— Inna wypycha płaski gors watą,
— Ta znów na męża się żali...
— Ten się ożenić radby bogato...
— Ta... etcetera, tak dalej...
A był to dla nich pokarm duchowy
I pożyteczny i słodki;
Za to, nie znała żadna obmowy
I nie wiedziała co plotki...
A to, że mogły gadać w ten sposób,
Choćby z wieczora do rana,
O każdej z znanych wzajemnie osób?
— Toż zdań zwyczajna wymiana...
Przytem godziła je zawsze w zdaniu
Taka bajeczna zasada,
Że o tych rzeczach, przy pożegnaniu,
Zwykle najlepiej się gada.
W kapelusikach, jak jest zwyczajem,
I pośpiech znaczy niby to,
Bywały często u siebie wzajem,
Lecz z krótką tylko wizytą.
Przy pożegnaniu, już w saloniku,
Zwykle kwadransik nie cały,
Mając spraw ważnych masę... bez liku...
Tak na stojączkę gadały...
A potem trochę... znów w przedpokoju...
Szybko, bo czasu już mało,
Pławiły dusze w nowinek roju
Jeszcze godzinkę nie całą...
Wreszcie na schodach, po nad poręczą,
(Tu najprzyjemniej jest właśnie)



Dama: Ach!... wół!...
Pan: Przepraszam... Ale ja nie winien, że krowa ma taki długi ogon.

Zwykle ich srebrne głosiki dźwięczą,
Dopóki... świeca nie zgaśnie...
A gdy powrócą do swych pieleszy,
Tę prawdę głoszą niemylną:
— Że się tej Kazi tak zawsze śpieszy?..
— Że też tej Jadzi wciąż pilno?...

* * *

Żartobliwe pytania.

Kiedy mężczyzna jest panem domu?

Odpowiedź. Kiedy żony niema w domu.

* * *

Jaka jest różnica między królem a zamężną kobietą?

Odpowiedź. Król rządzi z pomocą ministrów, zamężna kobieta z pomocą pantofla.

* * *

Także nieprzyjaciel.

Miał chłop w banku pieniądze. Że groziła wojna.
Kazała mu je podnieść baba niespokojna.
Usłuchał, bo tak nawykł. Grosz wyjąwszy z kasy.
Wstąpił na „kubek“ rumu i kawał kiełbasy,
A spotkawszy przyjaciół, tak się wnet ululał,
Że prawie co do grosza pieniądze przehulał,
I tak, zanim do kraju obce przyszły wojska,
Chłopa, miast wojny, zżarła — ot, głupota swojska.

* * *

Szczyt powodzenia.

— Dr. A.: Która z pań pracujących w klinice kolegi miała największe powodzenie?

— Dr. B.: Panna Jadwiga, gdyż zaledwie po 2-miesięcznej praktyce wyszła za jednego z asystentów.

* * *

Cichy spólnik.

— Ojcze, co to jest cichy spólnik?

— Widzisz, synku, to jest taki, który do interesu włoży, dajmy na to, tysiąc talarów, do niczego się nie miesza i jest „cicho,“ gdy nastąpi plajta.

* * *

Na wystawie.

— Dlaczego masz bawełnę w uszach?

— Mój kochany, muszę, bo niektóre obrazy mają zbyt krzyczące kolory.

* * *

Z dziedziny anatomii.

Raz pewien rzekł uczony,
Który prawdę ceni,
Że siedlisko wszystkich nerwów
Mieści się w kieszeni!...
A gdy kieszeń czyjaś pusta? —
Pytam pełen werwy.
On mi na to: — A czy ludzie
Biedni mają nerwy?

* * *

Dzisiejsze czasy.

Gdyś uczciwy, masz zasługi,
Zje cię nędza, zjedzą długi.
Kto oszustem, lub bałwanem
I ma pieniądz, ten jest panem.

Wypełnianka.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ Bartek z nad Warty

s	+	+	l
k	+	+	t
g	+	+	t
c	+	+	k
w	+	+	ch
h	+	+	e
p	+	+	t
u	+	+	a

Wypełnić poziome rzędy, ażeby wyszły znaczenia: *1. Ubranie. 2. Potwierdzenie. 3. Ruch. 4. Przekaz. 5. Duchowny. 6. Bogini. 7. Imię. 8. Związek.*

Litery wstawione czytane od góry do dołu, dadzą jeden z ostatnich wypadków na terenie wojny.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 23-go stycznia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej szarady.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie z nr, 1-go:

Karta wizytowa.

Obywatel ziemski.

Trafne rozwiązanie nadesłali i otrzymali nagrodę pp. K. S., gimnazyasta z Poznania, Jadwiga Wawrzyniak z Berlina, „Stary Wiarus“ z obczyzny, Maksymilian Śmiełowski z Wiednia.

Nasz kącik.

Sąd wróbelków.

Siedzę, piórkiem prędko skrobię,
Wtem, gwar wróbli mnie zagłusza.
Czas stracony, masz tam tobie,
Aż się żalem wstrząsła dusza:
Jak tu pisać, gdy przenika
Rozgwar taki do „Kącika?“
Kładę tedy szybko pióro,
A tu wróble sypią burą.
Rozgniewane mocno ptaki
Szturmują w okno. — Ataki
Coraz szybsze i gwałtowne...
Gadatliwe i wymowne,
Wskroś hałasu i rwetesu,
Wytaczają akt procesu:
— „A ty taka, ty owaka,
To ty tak dbasz o los ptaka?
Czyż to nie wiesz ile biedy
Jest wśród wróbelków czeredy?
Ani mru — mru w twym „Kąciku.“.
Że nas przecie jest bez liku,
Że my głodni, och, okrutnie,
Że nam dzionki płyną smutnie,
Że nie fruniem za granicę,
Bo kochamy tę ziemicę
I ten polski skrawek nieba,
Lecz nas przecie wspomódz trzeba,
Bo my biedne nieboraczki,
Gwałtu piszczą brzuszki — flaczki.
Nic nie piszesz z kart „Kącika“
Że nas przecie głód przenika,
Niechże Pan Bóg cię oświeci!
Apelujesz do serc dzieci,
Wzruszasz serca starców biedą,
Zziębniętych dziatek czeredą,
Tylko o nas, ani słychu, —
Więc siedzieliśmy po cichu.
Lecz dość tego, moja pani
Nasz ród wróbli ciebie gani,
Ha, — widzimy, będzie trzeba
Frunąć z skargą aż do nieba
I powiedzieć, że nic warta
Cała ta „Kącika“ karta,
Że ty serce masz ze stali
I skrzywdzeni myśmy, mali....“
Oj, nie wskóram tu nic pychą.
— „Przebaczenia!“ — jękłam cicho,
Ja napiszę moi mili,
Prośbę dla was, ot, w tej chwili,
Wzruszę serca małej rzeszy
I z pomocą wam pośpieszy.“
„Ręczysz za to?“ — „Ręczę za to!“
„Pamiętaj, z bracią skrzydlatą,
Moja pani, to nie żarty!“
Frrr — i cały orszak zwarty
Frunął chyżo w wszystkie strony...
Ślę wam pokłon uniżony:
Dobroczynną rzućcie ręką
Dla czeredy tej ziarenko,
Bo inaczej, wśród rwetesu
Znów powtórzy akt procesu
I „Kącikowi“ zagrozi
Surową karą od Bozi.

P. W.

* * *

Dobre rozwiązanie pytania żartobliwego:

„Król Michał Korybut Wiśniowiecki“ nadesłała Halszka Lewandowska z Wrześni i Staś Ochenduszko z Liska. Kora jest na drzewie, a but zrobiony ze skóry.

* * *

Pokwitowania i odpowiedzi.

Od p. Heleny Malinowskiej z Kórnika otrzymałam 18 mk. 29 f. jako dochód odegranego w jej domu i pod jej przewodnictwem „Wieczoru wigilijnego.“ Ponieważ do d. 10. 1. bliższych wiadomości tyczących się teatrzyku nieodebrałam, dziękuję tymczasem najserdeczniej tak niestrudzonej opiekunce dziatwy, jak i małej gromadce, za ich pracę i liczny zbiór groszy dla weteranów. Z Berlina nadesłano mi również na ten cel zebrane po odegranym „Wieczorze wigilijnym“ 12 mk. 75 f. Jadwisia Ziarnowska pisze: Urządziwszy w domu naszej cioci Ziarnowskiej i pod jej kierunkiem teatrzyk, posyłamy drogiej pani dla weteranów z 1863 r. zarobione pieniądze, jako dowód, że choć zamieszkali na obczyźnie, kochamy naszą Ojczyznę.“ Oto nazwiska młodych amatorów: Jadwisia Ziarnowska, Jadzia i Władzia Ratajskie, Praksia Lichocka Władzia, Boleś i Miecio Dubisz i Henryś Zieliński. Tak dobrej waszej cioci, jak i tobie miła młodzieży berlińska stokrotnie dziękuję za ten współudział w naszej pracy i składce dla czcigodnych staruszków. Gromadce Górnoślązaków: Stefci, Jadzi, Wandzi, Władzi, Jankowi i Tadziowi za zebraną w gronie rodzinnem 1 mk. ślę szczere „Bóg zapłać!“ Tem samem słowem dziękuję mojej miłej Halszce Lewandowskiej z Wrześni za przysłane 1 mk. 5 f., pisze ona: „Dostałam od Mamusi te pieniążki i posyłam wszystko, co posiadam.“ Twoja kuzyneczka — Halszko, przyniosła mi liścik, ale tak prędko oddawszy go, oddaliła się, że nie zdążyłam nawet zapoznać się z nią, bardzo żałuję. Zosia Wachowska z nad Drwęcy. Ucieszyłam się z twego liściku i z tego, co piszesz, bo bardzo kocham dzieci, które są w domu użyteczne i mamusię wyręczają. Dalsze odpowiedzi później. Wiecie już dzieci, że pierwsza składka dla kochanych staruszków wynosiła 42 mk. 60 f. , i że tę już przed Gwiazdką w biurze „Straży“ oddałam. Od tego czasu wpłynęło do dnia 10. 1. 13 r. 59 mk. 34 f., może do 22. 1. jeszcze coś wpłynie, więc dopiero na przyszły tydzień doniosę wam, ile ostatecznie zebrałam. Teraz serdecznie całuje wszystkie swoie pociechy, kochająca przyjaciółka P. W.

Wszystkie drogie dzieci proszę bardzo, aby w dniu 22-go b. m. gorąco pomodliły się do Bozi o spokój wieczny, dla tych wszystkich, którzy przed pół wiekiem polegli, broniąc ziemi ojczystej. Proście również Boga dziecinki, aby nam skrócił czas ciężkiej kary, by dobrotliwie spoglądał na nas z góry, błogosławił pracy i Ojczyźnie wrócił wolność.

Na cel weteranów z 1863-go roku.



Jadwisia Ziarnowska, Jadzia i Władzia Ratajskie, Praksia Lichocka, Władzia, Boleś i Miecio Dubisz Henryś Zieliński, dzieci berlińskie, które w Nowy Rok odegrały „Wieczór wigilijny“ w „Kąciku“ drukowany i na weteranów przysłały 12 mk, 75 fen.

Prawdziwy obrazek z przed pół wieku.

(Ciąg dalszy).

Nad czem oni tak ciągle radzą, myśli zaniepokojona Ania. Próbuje podzielić się swą troską ze Stefcią, tuli ją do serduszka, szepce o wszystkiem tem dziwnem, co ją teraz otacza, ale lalka obojętnie spogląda uśmiechniętemi, szafirowemi oczkami, aż się Ania tem oburzyła i z żalem rzuciła ją na kanapę: Kiedy tak, to sobie leż sama! I zarumieniona, wstydząc się swego czynu, podkrada się pod drzwi pokoju brata. Muszę, muszę posłuchać, szepce cichutko.

Błękitne oczko przylgnęło do dziurki od klucza, ale nic dojrzeć nie może, więc uszko przywarło szczelnie do małego otworu. Słucha Ania, lecz trudno jej powiązać zasłyszane czasem urywane słowa: — „Ojczyzna — niewola — rząd narodowy — za wolność — krew przelać — pójdziemy razem — za broń bracia — śmierć prawie pewna — drogo sprzedamy życie.“ Jak błyskawica przebiegła myśl przez główkę Ani: Tatusia wzięli Moskale. Stefek mówił, że oni nas prześladują, niania skubie płótno i powiedziała, że to na opatrunek, jak nasi pójdą walczyć, chłopcy zamykają się w pokoju i o krwi coś mówią, — ach, więc i Stefek pewnie pójdzie i Stefka zabiją Moskale. Zaniósłszy się gwałtownem łkaniem, Ania główką niebacznie w drzwi uderzyła. Chłopcy zaniepokojeni podbiegli i szybko je otworzywszy zobaczyli dziewczynkę. „Aniu, co to znaczy, coś ty tu robiła?“ Stefek groźnie brwi zmarszczył i w oburzeniu aż nogą tupnął. „Czy wiesz, kto podsłuchuje pode drzwiami? Szpiegi, moskiewskie szpiegi, którzy jak psy gończe węszą za nami i podkradają się wszędzie. „Aniu, jak mogłaś to zrobić?“ (C. d. n.)



Dr. Antoni J. Mikulski

Działalność oświatowa Tadeusza Czackiego.

(W setną rocznicę zgonu.)

II)

(Dokończenie).

Gdybyśmy jednak chcieli koniecznie imiona jakie ze wspomnieniem szkoły krzemienieckiej zespolić, to zaznaczyć wypada, że ze szkoły tej wyszli: Antoni Malczewski, Juliusz Słowacki, Józef Korzeniowski, Stefan Witwicki, Michał Wiszniewski, Maurycy Gosławski, Karol Sienkiewicz, Tomasz Padura, Tomasz August Olizarowski, Tytus Szczeniowski, Karol Drzewiecki, Aleksander Przeździecki i inni, a ze szkoły będącej pod kierunkiem Czackiego tj. ze szkoły humańskiej: Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński i Michał Grabowski. Wszyscy ci wynieśli ze szkół, wizytatorstwu Czackiego oddanych, to wysokie umiłowanie ideałów, ukochanych przez Czackiego, którym się nigdy później nie sprzeniewierzyli.

Czacki nie był systematykiem pedagogicznym, nie wypowiedział nawet żadnej doniosłej, własnej myśli pedagogicznej, w zasadach ogólnych szedł za filantropinistycznymi poglądami 18 w. — ale przyswojone ideały pedagogiczne urzeczywistniał jako prawdziwy człowiek czynu, nie pustej teoryi. Urzeczywistniał je zaś szczególniej w stosunku do ukochanego sobie gimnazyum krzemienieckiego. — Zarzucić można jego działalności, że nie zawsze i wszędzie robił to w stosunku do innych szkół i zakładów. Szeroki plan organizacyi wychowania na Rusi ścieśnił do szczupłego stosunkowo terytoryum Wołynia a w dalszym ciągu do Krzemieńca. Jestto największy może błąd Czackiego, skutkiem czego Podole i Ukraina nie doznawały już należytej pieczołowitości ze strony wizytatora. Następstwem tego było także zaniedbanie szkół powiatowych i parafialnych.

Gdybyśmy jeszcze poruszyli stronę dydaktyczną planu gimnazyum krzemienieckiego, któremu nie brakło odrębności, polegającej na połączeniu w jednym zakładzie cech szkoły średniej z cechami uniwersytetu, to tę właśnie odrębność uważać należy za wielki błąd dydaktyczny. Przejście od klas do kursów było zbyt gwałtowne, brakło stopniowania tak ważnego w dydaktyce. Nie zdziwi nas więc stanowisko uniwersytetu wileńskiego i rektora Śniadeckiego, którzy opierali się inowacyom, zwłaszcza wprowadzeniu aż pięciu języków w początkowych czterech klasach, co ze stanowiska dydaktyki ogólnej i postulatów wychowania narodowego uważać należy za zabójcze. — Te wszystkie jednak wady, wypływające z braku jego doświadczenia praktycznego w zakresie szkolnictwa i braku znajomości w praktyce innych szkół na zachodzie, dokąd Czacki nigdy nie jeździł, nie zmniejszają zasług Czackiego — tego wielkiego „jałmużnika oświaty", duszy czystej, obdarzonej hartowną wolą, a przepełnionej ideałem służenia dobrej sprawie, społeczeństwu i chęcią budowania lepszej przyszłości nie na miałkich kombinacyach politycznych, lecz na trwałych fundamentach odrodzenia duchowego i moralnego. Zasługi jego są ogromne, „każdy rok jego życia był dziełem lub pracą". (Słowa Ad. Czartoryskiego). — To też już za życia zrozumiano te jego zasługi i uczczono je postawieniem biustu Czackiego w bibliotece szkolnej i wybiciu medalu na jego cześć w r. 1809.[5])

Oddajmy na końcu głos pisarzom rosyjskim, którzy pisząc historyę uniwersytetu kijowskiego, musieli pisać o Czackim i jego działalności. — Historycy ci, Władimirskij, Budanow i Szulgin, czynią zarzut Czackiemu, że szkoła krzemieniecka i cała działalność wizytatorska miały na celu latynizowanie i polonizowanie trzech gubernii i że przewodni kierunek wychowania publicznego pod okiem Czartoryskiego i Czackiego wywołał ruch narodowy w roku 1830—31. Czartoryski był według nich chytrym polonizatorem zachodniej Rosyi a godnym jego sojusznikiem był Czacki, który w sposób energiczny i niezawodny a nieuchwytny dla rządu polonizował i latynizował południowo-zachodnie gubernie. Szulgin przytacza fakt, że byli ludzie z zachodnio-ruskiej szlachty, którzy w swej młodości pisywali do Czartoryskiego po rusku, choć się uważali zawsze za Polaków, później zaś tego zaniechali, gdyż ich spolonizowano i zlatynizowano.

Wolno pisarzom rosyjskim oceniać fakt ten jak chcą, my go ocenimy jako wielką zasługę Czartoryskiego i Czackiego na polu rozbudzenia ducha i uświadomienia narodowego. Że obok reakcyjnych dążeń rządu carskiego przyczyniło się i wychowanie narodowe szkoły krzemienieckiej do wywołania ruchu narodowego w r. 1830—31, to także zasługa Czartoryskiego i Czackiego, którzy celów swych byli zupełnie świadomi. — Niekorzystny o nich sąd pisarzy rosyjskich jest dla nich i dla nas najlepszem świadectwem ich błogiej działalności i zasług. Najlepiej jednak o działalności i zasługach Czackiego świadczy fakt, że senator Nowosilcow złorzeczył jego pamięci i mawiał, że Czacki o sto lat oddalił Rosyę od celu, jaki sobie przy rozbiorach Polski założyła.

III. Daty biograficzne.

Tadeusz Czacki urodził się 28 sierpnia 1765 w Porycku (pow. Włodzimierski) z ojca Szczęsnego, podczaszego koronnego i matki Katarzyny Małachowskiej. Matka odumarła go wcześnie, a ojciec więziony wskutek przekonań staroszlacheckich od r. 1766 nie mógł dzieci wychowywać. Zajął się Tadeuszem i bratem jego Michałem stryj ich Franciszek Czacki, strażnik W. koronny i zabrawszy ich do Gdańska, przebywał tam z nimi przeszło cztery lata. Gdy ojcu pozwolono pod strażą mieszkać w Porycku, brat wrócił mu synów. Wykształcenie domowe pobierał Tadeusz pod okiem Jezuity Faustyna Grodzickiego i Warmińczyka Marcina Gerbera. W 19 roku życia wszedł Tadeusz w zawód publiczny jako członek sądów zadwornych (1784) oddając się równocześnie badaniom dzieł prawniczych i dziejopisarskich pod okiem Albertrandiego i Naruszewicza. W r. 1786 zostaje członkiem komisyi skarbowej, gdzie rozwija pożyteczną działalność przez lat 6 tj. do r. 1792. W r.1790 traci ojca. Konstytucya Trzeciega Maja nie miała w nim wielbiciela, na wiele jej punktów nie zgadzał się, posłuszny jednak prawu, wykonał na nią przysięgę 7 maja 1791 i wytrwał przy niej. Gdy zwyciężyła Targowica, wycofał się ze składu komisyi skarbowej, ożenił się z Barbarą Dembińską i usunął się w zacisze domowe, oddając się badaniom dziejowym. Podczas powstania kościuszkowskiego, podejrzany o udział w niem, traci na mocy ukazu Katarzyny II. majątek, tj. Ostróg i klucz Brusiłowski a reszta (Poryck) idzie w sekwestr. W tem przykrem położeniu materyalnem stara się o posadę profesora akademii krakowskiej. — Majątek wrócono mu w r. 1796 po wstąpieniu na tron cara Pawła I. Ofiarowanego mu przez Pawła I. stanowiska członka senatu Czacki nie przyjął, zajął

[1]) Osiński op. cit. 65.

się natomiast składkami na rzecz zesłanych na Sybir Polaków i ułatwiał im powrót do Polski. W r. 1800 należał do założycieli Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i brał w niem jak również w życiu umysłowem Warszawy wielki udział. W r. 1800—1 ogłosił wielkie dzieło „O litewskich i polskich prawach, o ich duchu, źródłach, związku i o rzeczach zawartych w pierwszym Statucie dla Litwy 1529 Zwiedzał następnie biblioteki pracując naukowo, a równocześnie myślał o ekonomicznem podniesieniu Polski, zakładając z Sołtykiem, Walickim i Drzewieckim spółkę handlową. W tym samym roku, w którym okręt handlowy, noszący nazwisko Czackiego, wypłynął z Odessy do Tryestu i zaznaczył ważną chwilę w dziejach polskiego handlu, mianował Aleksander I. Czackiego wizytatorem szkół w gubernii podolskiej, kijowskiej i wołyńskiej. W tymże roku wrócił Czacki z Warszawy do Porycka i rozpoczął dziesięcioletnią błogą w skutki działalność wizytatorską, w której przetrwał do śmierci.

Umiera w Dubnie 8 (20) lutego 1813 — pochowany w Porycku.

W Krakowie 1912.

KONIEC.

Wiktor Gomulicki.

BÓJ OLBRZYMÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

44)

(Ciąg dalszy.)

Oficerowie palili fajki, pili poncz, gawędzili i ziewali — wszyscy jacyś rozleniwieni, obojętni i jakby samym sobie dziwiący się. Ktoby im głębiej w oczy zajrzał, dostrzegłby w nich zawstydzenie. Wstydzili się swych krótkich, mało chwalebnych czynów, przegradzanych długiemi, niesławnemi odpoczynkami. Własnej ich winy w tem nie było. Jeden z pułkowników określił ich, siebie i cały korpus piąty, dowodzony przez króla Westfalskiego słowami

— Jaki pan, taki kram...

O tym właśnie królu między biesiadnikami rzecz szła.

— Jaki on tam król!... — szydził jeden. — Zwyczajny niźnik, i tyle...

— W dodatku: żołędny... — bąknął inny, kłąb dymu ustami puszczając.

Podchwycili to najbliżsi.

Niźnik żołędny!... Brawo!... Biję niźnika!... Dwójka świętna od niźnika starsza!...

Kapitan Mroczek, gospodarz zabawy, pilnował, żeby szklanki, dzbanuszki i miseczki kolegów stale były napełnione, sam jednak pił mało i od krzyczących trzymał się zdaleka. Gdy dla ochłody zdjął mundur, obecni ujrzeli na jego piersi kokardę z wstążki różowej. Szybkim ruchem oderwał ją i ukrył — przyszło to już wszakże za późno.

— Zdrowie róży!... Zdrowie ulubionego kwiatu kolegi Mroczka!... — wykrzyknął kapitan Dunquerque z pułku woltyżerów, podnosząc w górę kubek wyszczerbiony.

— Zdrowie pięknej, majowej różyczki! — powtórzył inny, świadomszy stosunków Mroczka.

— Koledzy! żadnych żartów! — zaoponował energicznie Mroczek. — To sprawa dla mnie święta!

Wszyscy w jednej chwili umilkli.

W tej chwili w pobliżu chaty rozległ się śpiew:

Zostawszy potężnym panem,
Wszystko mogącym sułtanem,
Synu! czyń tak, jak ja robię:
Najpierw pamiętaj o sobie!...

Wszyscy poznali, że nadchodzi porucznik Zefiryn, czyli „Zefirek" — on bowiem jeden tylko w całym obozie popisywał się aryą z „Królowej w Syras." Jakoż ujrzano go niebawem w progu. Drzwi były na całą szerz otwarte, on jednak, zawsze w przestrzeganiu form towarzyskich ścisły, zanim wszedł do środka, kilkakrotnie w nie zapukał, i nie pierwej próg przestąpił, aż rozległy się wołania: *Entrez! entrez!*

Wszedł strojny, wymuskany, pachnący, świeży „jak z pudełka." Mundur na nim leżał gładko, bez fałdki najmniejszej, włosy miał ufryzowane, twarz starannie ogolona i lekko upudrowana. Złożył wszystkim ukłon salonowy, i w postawie teatralnej kończył:

Mimo narzekań hałastry,
Zbieraj cekiny i piastry;
Niechaj lud sobie dziwaczy —
Goły król mało co znaczy!

— Spóźniłeś się, kawalerze... — zwrócił się do przybyłego najstarszy z towarzystwa. — Zapominasz, że punktualność obowiązuje nawet królów — rozumie się, nie Westfalskich.

Zefirek wykręcił się na pięcie.

— Tra la la!... Wiem bez przypominań com winien Ojczyźnie. Jeślim nie stawił się w oznaczonej porze na wasz podły poncz, którego sam odór o mdłości mnie przyprawia, stało się to dla dwóch powodów, z których drugi... ktoś zauważył.

— Pierwszy, jako ważniejszy, chowam na koniec. Drugim zaś było to, żem musiał do swej kwatery wstępować, aby się przebrać od stóp do głowy.

— Zbyteczne ceregiele... — wystąpił z uwagą Mroczek. — My przecie balu nie wyprawiamy.

— Tra la la! Najpierw szanujący się oficer winien w każdym czasie występować po balowemu. Następnie koniecznie musiałem tamten mundur zrzucić bo mnie wprost kompromitował. Mój Jędruś, wyobraźcie sobie, zamiast skropić go ekstraktem *Dernier soupir d'une amante aban-*

domèe, użył zwyczajnej, wulgarnej, *larendogry.* Czyż nie byłoby *du dernier ridicule* zjawiać się z takim zapachem na zebraniu towarzyskiem?

— Bredzisz, kolego... — ozwał się z kąta grubym głosem ten sam, co wpierw, starszy, poważny oficer. — Jak może żołnierz zaprzątać sobie głowę takiemi fraszkami?

— Tra la la! Dla waszmości fraszki, a gdybyś spytał Józia, pewnie by racyę przyznał nie tobie, lecz mnie.

Ostrożnie, końcami palców dotknął swej fryzury, potem dumnym wzrokiem powiódł po zebranych.

— Od Józia właśnie powracam... — wycedził przez zęby, brodę do góry zadzierając.

Uczyniło to wrażenie na obecnych. Gwar przycichł.

— Czy są nowiny? — spytało kilka głosów.

Zefirek zagadkowo się uśmiechnął, oczyma miejsca dla siebie szukał.

Zasiadająca kulawą ławę starszyzna pośpiesznie posunęła się, czyniąc mu miejsce wolne.

Batystową woniejącą chusteczką otrzepał ławę i siadł, nogi przed siebie wyciągając.

— Nowiny są —odrzekł wciąż uśmiechnięty — mogliście to byli z mojej twarzy wyczytać. Ale dajcie mi najpierw szklankę swojej śmierdziuchy, żebym miał czem zakurzone gardło przepłukać.

— Najpierw nowiny, potem poncz — sprzeciwiano mu się.

— Tra la la! Ja mogę i poncz wypić i pożegnać waszmościów, powiedziawszy: — *Merci, au revoir.*

— Hola! Nie puścilibyśmy! — podniosły się głosy.

— Mundur, pachnący ekstraktem *Dernier soupir* ,zostałby z waszmości ściągnięty.

— Z rajtuzami razem!

Na ustach Zefirka zaigrał wesoły, prostoduszny uśmiech dobrego kamrata.

— Otóż nie! — zawołał, powstając. — Nie dokażecie tej sztuki. Żaden z was nie ściągnie ze mnie munduru, gdyż — ja sam wpierw to uczynię!

Szybkim, zręcznym ruchem zdjął mundur, i starannie go złożywszy, obok siebie na ławie położył.

— Czy mam to samo z rajtuzami zrobić? — wesoło zapytał, wzrokiem wodząc dokoła.

Rozległy się krzyki:

— Nie trzeba! Nie trzeba!... Zuch Zefirek!... Dajcie mu ponczu!... Dajcie mu dwa poncze!... I fajkę!...

Po zdjęciu munduru okazało się, że pierś pięknego porucznika ozdabiają liczne, różnych kolorów, kokardy.

— Cóż to za trofea? — dopytywać zaczęto. — Czy to zdobycz z pod Nowogródka? A może z pod Mira lub Romanowa?

— Z Warszawy — spokojnie oświadczył Zefirek.

— Wzięta na wojnie?

— Nie, w pokoju.

Ktoś zaśmiał się na całe gardło.

— Bądź szczerszy, bałamucie. Powiedz wprost: w alkowie!

— Tra la la! A co komu do tego? Noszę barwę swej jedynej — i basta.

— Jedynej? Przecie kokard jest sześć, a każda innej barwy....

— Powiedzieć właśnie chciałem: jedynej, pomnożonej przez sześć.

Wypił poncz jednym łykiem, nie odejmując od ust szklanki, otrząsnął się i splunął.

— Brr... cóż za obrzydliwość. Jeszczem nigdy w życiu czegoś równie ohydnego nie pił. Dawajcie prędko drugą szklankę!

Załatwiwszy się równie prędko z drugim ponczem, przybrał nagle minę melancholijną.

— Towarzysze! — wyrzekł smętnie, obrzucając kolegów czułem spojrzeniem. — Gdy zginę, weźcie z mojej piersi te kokardy i odnieście je mojej jedynej, pomnożonej przez sześć. Sześć adresów wraz z sześcioma próbkami włosów, znajdziecie w moim portfelu. Przy wręczaniu każdej kokardy mówcie z westchnieniem: — Ostatnie jego słowo było: „Elwira!...“ Albo: „Justyna!“ Albo „Amelia!“ — i tak dalej, stósownie do wskazówek, podanych przy adresie.

Kapitan Dunquerque, siedzący na futrynie okna, jak na koniu, zawołał:

— Ja też do kolegów prośbę zanoszę. Ten, kto mnie na polu bitwy znajdzie nieżywego, niech tę wiadomość zaniesie kapitanowi Kossowi oraz porucznikowi Jabłońskiemu i niech im powie: — „Kapitan Dunquerque z drugiego pułku woltyżerów kłania się waćpanom i zaprasza na dolinie Józefata!“ Zawsze mi ci dwaj za vis-à-vis służyli, chciałbym i tam mieć ich przy sobie.

— Nowiny! Nowiny! — dopominać się zaczęło ułanów kilku, grzmocąc o stół kawaleryjskiemi mocno okutemi szablami. — Wypiłeś, Zefirku dwa poncze, wypaliłeś dwie fajki — niechże ci się język nareszcie rozwiąże!

— Tra la la! — odparł lekceważąco tamten, przesuwając lekko dłoń po fryzurze i rożkiem batystowej chusteczki ocierając usta. — Gdybym nie chciał, tobym nie powiedział, lecz, na szczęście dla was chcę... Dowiedzcie się zatem, że byłem dziś u Józia, i że to Józio nowin mi udzielił.

Wszyscy nadstawili uszu. Gwar przycichł.

— Nowina pierwsza! — wygłosił Zefirek poważnie, jak z katedry. — Cesarz ma już dość swego braciszka Hieronimka. Wytargał go za uszy i klęczeć przed Davoutem kazał.

Skupili się słuchacze przy Zefirku. Nadzwyczajne zaciekawienie malowało się na wszystkich twarzach.

— Mów wyraźniej! — domagano się. — Umieramy z ciekawości! — Za dobrą nowinę wykąpiemy cię w esencyi różanej! Sprawimy ci kąpiel z cynamonu, szafranu i nardu, jak nałożnicy izraelskiej!

— Gotujcie kąpiel, bowiem królowi Westfalskiemu odebrano dowództwo, a jego korpus przyłączony do korpusu generała Davouta.

— A książę!

—Na czele korpusu piątego staje *de facto.*

— Wiwat książę Józef!... Wiwat książę wódz!... Z nim na Moskwę! na piekło! na samego Lucyfera!

Ogromna radość zapanowała w izbie. Zażądano nowych porcyj ponczu, nowych fajek. Śpiewano, całowano się, tańczono.

Trzeźwiejszy od swych gości Mroczek ujął Zefirka pod ramię i dopytywał:

— Skądże to poszło? Co było ostatnią kroplą, która czarę przepełniła?

— Hieronimek za wiele czasu poświęcał miłostkom oraz kąpielom w winie i mleku, a za mało ściganiu Bagrationa. Przytem miał zwyczaj rozkazy cesarza wypełniać naodwrót. Zamiast dwadzieścia pięć mil wykonywać w siedmiu dniach, na siedem mil poświęcał dwadzieścia pięć dni...

— No, teraz wszystko pójdzie żwawiej. Wiatronogie rumaki na skrzydłach burzy uniosą zakutych w miedź herojów. Uderzy w surmę Mars, a Pallas tępym końcem dzidy grzmotliwy dźwięk z tarczy dobędzie!...

Zefirek już miał ze swem „tra la la“ wystąpić, lecz w obozie zagrały nagle trąbki, wzywające do wojennego pogotowia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przepowiednia kabalarki.

Z oryginału angielskiego przełożyła M. K.

4)

ROZDZIAŁ V.

Sylwia umiałaby sama zaledwie powiedzieć, jakim sposobem zamieszkała w Lacville we willi du Lac, tydzień po pierwszej bytności tutaj. Ale tak się stało, a zmiana ta była dla niej czemś nowem ze wszystkich punktów widzenia.

W Paryżu było nieznośne gorąco — chodniki rozpalone niemożliwie, a atmosfera ciężka i duszna. Anna zmieniona była także do niepoznania, trzy razy wyjeżdżała do Lacville, nie pozwalając pod żadnym warunkiem towarzyszyć sobie, swej młodej angielskiej przyjaciółce. Na chwilę myślała nawet Sylwia wrócić do Anglii, ale dom jej był wydzierżawiony do końca września — a mimo gorąca nie chciała opuścić Francyi.

Na końcu tygodnia Anna wykrzyknęła niespodzianie: — Dlaczegobyś i ty nie miała zamieszkać w Lacville? Do Szwajcaryi nie możesz sama jechać, a w Paryżu, przy tej gorączce, zostać także nie ma celu. Nie potrzebujesz mieszkać we willi Malpait, ale choćby we willi du Lac. Tam zrobisz wkrótce znajomości, bo w tym pensyonacie jest zawsze najlepsze towarzystwo, a ranki możemy razem spędzać.

— A mogłabym też należeć do klubu? — spytała Sylwia nieśmiało.

— Nie, nie, nie rób tego, lepiej nie.

Na to Sylwia rozgniewała się na dobre.

— Nie wiem powodu, dlaczego nie — sama mówisz, że nie ma nic złego w grze o pieniądze.

Zkąd Anna miała śmiałość mówić do niej jak do dziecka, Bill Chester czynił to, ale on był jej opiekunem i o wiele starszym, nie pozwolił Annie nigdy na to.

Dlatego Anna zamieszkała we willi du Lac, a skoro właściciel hotelu de l'Horloge dowiedział się, że chce napewno Paryż opuścić, uczynił wszystko, co było w jego mocy, aby zamieszkała u jego kuzyna.

Obie przyjaciółki przyjechały do Lacville w poniedziałek po południu, w najcichszym dniu tygodnia. Kiedy Anna odjechała do swego pensyonatu, młoda Angielka uczuła się bardzo samotna i opuszczona, a nawet zabawna uprzejmość pana Polperra, który ją do pokoju przeznaczonego dla niej, prowadził, nie zdołała rozweselić Sylwii.

— Oto jest pokój sypialny hrabiny, przyjaciółki cesarzowej Eugenii — rzekł.

Dzisiaj willa du Lac będzie o wiele bardziej ożywiona. W ostatnim tygodniu miałem tylko hrabiego de Nizien. Niezawodnie słyszała pani o jego szwagrze księciu d'Eglemont?

Sylwia uśmiechnęła się.

— Tak, wygrał pierwszą nagrodę, przy wyścigach w Londynie. — Czy hrabia ma też własne konie tutaj?

— O nie pani — lubi je bardzo, ale niestety inne rzeczy zajmują go bardziej.

Kiedy pan Polperro wyszedł kłaniając się, Sylwia usiadła przy otwartem oknie, a oczom jej przedstawiło się prześliczne, niezwykłe panorama.

Tak, bardzo dobrze zrobiła, że przyjechała tu dotąd, choć może angielscy przyjaciele byliby przeciwni. Ale, cóż zresztą było złego w Lacville? Czyż nie mogła grać także w ruletę, mając na to?

Sylwia nie spotkała jeszcze nigdy kobiety tak inteligentnej i miłej jak Anna Wolska, a Anna przyznawała sama, że jej jedynym celem życia była gra w ruletę.

Myśląc o przyjaciółce, smuciła się zawsze, że obie były w rozmaitych pensyonatach. Byłoby tak przyjemnie, gdyby zawsze były razem. Obiad miał być o pół do ósmej. Sylwia ubrała się w prześliczną, białą, koronkową suknę, którą po raz pierwszy wzięła, od czasu bytności we Francyi. Śmieszne byłoby wziąć taką toaletę w małej jadalni hotelu de l'Horloge, ale willa du Lac była zupełnie coś innego.

Gdy się Sylwia przejrzała we wielkiem lustrze, uśmiechnęła się zadowolona. Przypomniała sobie młodego Francuza, który tak odmiennie ją traktował od innych mężczyzn. Zapomniała nazwiska, wiedziała tylko, że był szwagrem księcia d'Eglemont.

Powoli zeszła po szerokich, dywanem krytych schodach do wspaniałej jadalni i zaraz na wstępie ujrzała owego młodego człowieka, o którym myślała codopiero. Miejsce miała niedaleko niego.

Gdy młoda Angielka ukazała się w drzwiach sali, hrabia de Vinci powstał z krzesła i złożył jej głęboki, pełen szacunku ukłon.

Sylwia o mały włos byłaby wybuchnęła śmiechem, nigdy żaden młody człowiek nie kłaniał się jej w ten sposób.

Podczas doskonałego obiadu Sylwia obejrzała się nieśmiało. Dużo osób znajdowało się w sali, ale każdy miał swoich znajomych, przyjaciół. Tylko ona i hrabia byli samotni. Sylwia była ciekawa, czy i on odczuwał samotność, podobnie jak ona.

Pod koniec obiadu, pan Polperre zbliżył się do Sylwii.

— Myślę, że pani zadowolona z obiadu — rzekł — proszę mi zawsze powiedzieć, gdyby pani co nie smakowało.

Przywołał zgrabną usługującą dziewczynę.

— Felicyo, uważaj zawsze czy pani nie ma jakich życzeń. — Oto moja siostrzenica — zwrócił się do Sylwii — bardzo dobra dziewczyna, nasza przybrana córka, niech pani jej tylko o każdem życzeniu raczy powiedzieć.

Sylwię opuściła nieśmiałość i tęsknota. Nie spotkała jeszcze nigdy tak uprzejmego hotelisty jak pan Polperro.

— Dziękuję panu bardzo — rzekła uprzejmie — ale czuję się doskonale, nic mi nie trzeba. Po obiedzie idę do kasyna, spotkać moją przyjaciółkę panią Wolską.

Po obiedzie roznoszono kawę w ogrodzie — dwie panie zbliżyły się do Sylwii, mówiąc kilka grzecznych słów, ale

każda miała znajomego, lub przyjaciela; Sylwia znów uczuła się opuszczoną, kiedy nagle hrabia de Vinci podszedł ku niej.

— Jeśli się nie mylę, pani ma zamiar pójść dziś do kasyna — rzekł w doskonałej angielszczyźnie. — Czy wolno by mi było panią do klubu jako członka zapisać? Poczekał chwilkę, a potem dodał: jest lepiej dla pani być wprowadzoną przez członków, niż przez hotelistę. Mnie dobrze znają w klubie, jestem od kilku lat stałym członkiem.

— Nie jestem jeszcze zdecydowaną, czy wstąpię do klubu — rzekła Sylwia wahająco.

— A to przepraszam, o ile zrozumiałem zdawało mi się, że pani do pana Polperro wspomniała, że dziś wieczorem chce pani być w klubie.

Tu Sylwia zdziwiła się bardzo. Jakże mógł zrozumieć słowa powiedziane do pana Polperro wobec głosów tylu gości?

— Tak idę do kasyna — rzekła otwarcie, ale tylko, aby tam spotkać znajomą, tę panią, która była ze mną, kiedy nas pan z ambarasu wybawił — a potem dodała nieśmiało — nie usiądzie pan?

Hrabia de Vinci, skłoniwszy się, usiadł przy niej.

— Obawiam się, że pani nie będzie wolno wejść do klubu dzisiaj, jeśli pani nie jest członkiem. Oni muszą być surowi w takich rzeczach. Widzi pani, byłaby to niesolidarność wobec innych osób. Kasyno mogłoby zaprotestować.

— Jak pan dobrze po angielsku mówi! — rzekła Sylwia zdziwiona.

— Byłem w szkołach w Anglii w Beaumant, niedaleko Windsoru, ale teraz rzadko tam jeżdżę, rzadziej, niż bym sobie życzył.

A potem, Sylwia nie wiedziała sama, jak to się stało, nawiązała się prawie poufała pogawędka między nimi. Po małej chwili Sylwia zauważyła, że hrabia nie palił.

— Czy pan nie pali? — spytała.

— Jeśli pani pozwoli.

— Ależ naturalnie, mój ojciec palił cały dzień, jestem przyzwyczajona.

Pół do ósmej wybiło. Pani Bailey i hrabia de Vinci rozmawiali bardzo długo.

Sylwia prędko wstała z krzesła.

— Muszę iść — obiecałam napewno w pół do ósmej być w sali kasyna. Anna Wolska mnie już oczekiwać będzie.

— Jeśli pani pozwoli — towarzyszyłbym pani do kasyna.

Sylwia pobiegła na górę i wkrótce wróciła w kapeluszu i rękawiczkach — hrabia czekał już w przedsionku.

— Myślę, że muszę się pani zaprezentować ceremonialnie — rzekł uroczyście. Moje nazwisko jest hrabia Paul de Vinci.

— A moje Sylwia Bailey — brzmiała odpowiedź.

Gdy szli wązką uliczką, prowadzącą do kasyna, hrabia rzekł nagle:

— Czy pani mi wybaczy, jeśli pozwolę sobie zauważyć, że pani przyjaciółka powinna była przyjść po panią, jeśli panie miały zamiar spędzić wieczór w kasynie. Nie jest to tak jak Anglicy nazywają „stosownie" w Lacville iść samej do kasyna, albo w towarzystwie obcego mężczyzny — gdyż ja jestem niestety tylko obcy dla pani.

Nie było ani cienia flirtu w głosie hrabiego, gdy mówił te słowa. Sylwia zarumieniła się — nie było to nic obrażającego — tylko troska o jej dobrą reputacyę.

— Widzi pani — pani wygląda bardzo młodo, pani jest bardzo młoda i przyznaję się pani, gdy panią pierwszy raz ujrzałem, myślałem że panienka. Naturalnie wiedziałem napewno, że pani jest Angielka.

— Angielska panienka nie byłaby przyjechała sama do Lacville — zauważyła Sylwia.

— O pani — młode panny Angielki czynią często niezwykłe rzeczy.

Sylwia dziwiła się w duszy nad hrabią — czy Lacville było także podejrzane miejsce, że kobieta sama nie mogła iść sama kilka kroków?

— Może jestem zbyt surowy — podjął hrabia znowu — niedawno jednej pani skradziono w jasny dzień torebkę z pieniędzmi i kosztownościami. Każdy przyjeżdża tutaj, aby wygrać.

— Ale wszyscy ludzie wyglądają tak spokojnie i poważnie.

— To prawda, są wszakże wyjątki. A Lacville ma ich więcej niż inne miejsca.

Doszli nareszcie do sali kasyna. Anna patrzyła już niespokojnie przez szklanne szyby.

— Anno oto jestem, spóźniłam się, przepraszam cię bardzo — Sylwia obróciła się, aby przedstawić hrabiego, ale ten ukłonił się pospiesznie i oddalił, zanim Sylwia słowo zdążyła powiedzieć.

— Widzę, że już zrobiłaś znajomości — rzekła Anna sucho.

— To ten sam człowiek, który był tak uprzejmy w kasynie przy baccaracie. Mieszka także we willi du Lac — to hrabia Paul de Vinci — rzekła Sylwia usprawiedliwiająco.

— Tak, to wiem, znam go z widzenia.

— Proponował mi kartę wstępu do klubu, chce mnie sam wprowadzić.

— Ja cię wprowadzę naturalnie — rzekła Anna — ale to pewno nie trzeba jeszcze dzisiaj. Możemy spędzić wieczór w dolnych salach gry. Nie zostawiłabym cię samą, chyba w poniedziałek wieczorem.

— Mówisz tak o mnie, jakbym była solą lub cukrem, który się może rozpłynąć — rzekła Sylwia gniewnie.

— Trzeba być bardzo ostrożną w Lacville — pełno tutaj osób, którzy czyhają na łatwy sposób zarobienia pieniędzy. Ty nie jesteś tylko bardzo piękna droga Sylwio, ale wyglądasz jeszcze na bardzo bogatą, a to gorzej.

— Tak jest — rzekła Sylwia — nie tylko jestem bogata, ale bardzo, bardzo szczęśliwa; tak się cieszę, że tu przyjechałam, myślę napewno, że w Szwajcaryi ani pół tak nie zabawiłabym się jak w Lacville.

— Sale publicznej gry były spokojniejsze i bardziej puste niż w sobotę, kiedy Sylwia po raz pierwszy je widziała. Ale wszyscy ludzie siedzący lub stojący w grupach wyglądali jakby czemś bardzo poważnem byli zajęci. Pieniądze ryzykowano, przegrywano, wygrywano z niezwykłą szybkością. Dużo kobiet i mężczyzn spojrzało przelotnie na Annę i Sylwię, poczem odwróciły się, aby zupełnie grze się oddać.

Sylwia interesowała się wszystkiem. Mogła tak stać i godzinami przyglądać się grze bez zmęczenia, ale Annie znudziło się prędko — wolała już kilka franków poświęcić, niż tracić czas na przypatrywanie się.

— Dziwnie — rzekła — nie widzę tu nikogo, co w Monte Carlo grywał — z reguły spotykałam tu graczy z tamtąd. My jesteśmy odrębną kastą, spotykającą się często przy zielonym stoliku.

— Nie mogę słuchać, gdy się do graczy zaliczamy. Anna zaśmiała się.

— Wierz mi, nie ma różnicy między człowiekiem, grającym namiętnie w karty, i takim, który ich do rąk nie wziął nigdy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W płomieniach.

Z francuskiego tłumaczyła M. P.

— Muszę iść... — wyjąkał, — nie mogę ci tego teraz wytłumaczyć....

— Ale wrócisz przecież! — zawołała Nellie błagalnie.

— Nie, nie, wszystko się skończyło!

— Musisz wrócić! Musisz! Ten raz tylko jeszcze! Będę czekała na ciebie!

Ryszard zawahał się, lecz smutne oczy ukochanej zwalczyły jego opór.

— Wrócę, — szepnął i wybiegł jak szalony z pokoju.

Czas wolno upływał. Na zegarze kościelnym wybiła dziesiąta, jedenasta i nareszcie północ nadeszła. Nellie siedziała nieporuszona, z oczami w drzwi utkwionemi i nawet pani Bannet milczała wobec tej cichej, głębokiej rozpaczy. Kilka minut po dwunastej rozległ się w nocnej ciszy turkot dorożki i zaraz potem wszedł Ryszard do pokoju.

— Jestem, — rzekł ochrypłym, drżącym głosem, — ale muszę zaraz odejść...

Nellie spojrzała mu badawczo w oczy.

— Czy to była ta kobieta, o której wspominałeś poprzednio? — spytała.

— Tak!

— Przepędziłeś wszystkie te godziny w jej towarzystwie?

— Nie, dziesięć minut zaledwie!

— Co się dzieje?

— Znajduje się w przykrem położeniu i prosiła mnie o pomoc.

— A ty — potrzebujesz także pomocy?

Ryszard potwierdził pytanie to skinieniem głowy.

— Mogę ja ci pomódz?

— Tem tylko, że wierzysz i ufasz mi, — odrzekł, ujmując jej ręce. — Nie okłamałem cię — nie kocham tej kobiety, kocham ciebie, tylko ciebie jedną! Ale co uczyniłem dziś, to uczynić musiałem.

— Wierzę ci! — odpowiedziała z szczerością dziecka.

Pani Bannet tymczasem usłyszała na dole jakiś podejrzany szelest i wyjrzała oknem.

— Jezus Marya! — krzyknęła, cofając się szybko, ale w tejże samej chwili rozległy się ciężkie stąpania na schodach.

— Co to jest? — szepnęła Nellie przerażona.

— Zobaczymy, — odpowiedziała pani Bannet z zjadliwym uśmiechem.

Zaraz potem zapukano silnie do drzwi i szorstki głos męski odezwał się w sieni.

— Otwierajcie w imię prawa!

Pani Bannet odsunęła czemprędzej rygiel i ujrzała trzech mężczyzn w mundurach.

Gibelin odetchnął, gdy ujrzał Ryszarda.

— Pan Kildale? — spytał, zbliżając się do niego.

— Tak.

— Musisz pan iść z nami. Otóż tu rozkaz aresztowania!

Nellie zachwiała się.

— Co — co — jękła, — co pan Kildale zawinił?

Gibelin wzruszył ramionami.

— Tego ja nie wiem, — rzekł. — Ale oskarżony jest o popełnienie morderstwa.

— Matko Boska! — krzyknęła pani Bannet. — Morderca w mojem mieszkaniu!

— Odprowadzić go, — rozkazał Gibelin i policyanci ujęli natychmiast ręce oskarżonego.

— Nellie, — rzekł Ryszard, — przysięgam ci, że jestem niewinny!

Nellie rzuciła się ku niemu i przycisnęła twarz do jego ramienia.

— Ufam ci, — zawołała, — i kocham cię! Jeżeli dziś po południu powiedziałam, że nie chcę być twoją żoną, to tylko dla tego, że cię kocham i nie chciałam ci zawięzywać przyszłości. Ale teraz, gdy jesteś w nieszczęściu, teraz jestem twoją — twoją na zawsze!

Potem cofnęła się sama i ukrywszy twarz w dłoniach, zapłakała cicho — rozpaczliwie.

Policyanci wyprowadzili Ryszarda.

ROZDZIAŁ V.

Biedny pan Gorice bardzo był przygnębiony. Jeszcze komisarz nie skończył spisać swego sprawozdania, a już pan Simon, szef policyi, przybył na miejsce zbrodni, za nim zjawił się wnet sędzia śledczy pan Ville, aby wszystko obejrzeć, o wszystkiem się dowiedzieć i spisać protokół. Gibelin i lekarz przygotowywali także swoje sprawozdania, przed bramą zaś stało co najmniej trzydziestu żurnalistów, pragnących najdokładniejszych szczegółów dla gazet. Około pierwszej w nocy przybył fotograf policyjny, który prawie dwóch potrzebował godzin na sfotografowanie trupa, leżącego na ziemi. Musiał użyć do tego odrębnego aparatu, aby robić zdjęcia z góry, również jak i dla sfotografowania rozmaitych części pokoju.

W pauzach rozmawiali panowie o dziwnym, zagadkowym tym wypadku, nie mogąc się na jedno zgodzić zdanie. Pan Ville twierdził, że Martinez popełnił samobójstwo.

— Przecież strzał padł z najbliższej blizkości, nieprawda panie doktorze? — zapytał Jouberta.

— Tak, dowodem tego opalone brwi i ślady spalenia na skórze, — odrzekł lekarz, — podług mego zdania nie mogła lufa pistoletu być więcej oddaloną, niż na 6 cali od twarzy zamordowanego.

— I Martinez był silnym, zręcznym człowiekiem, — mówił lekarz dalej, — nie byłby pozwolił w żaden sposób zbliżyć się mordercy do siebie. — Zresztą ani meble, ani ubranie nie zdradzają śladów walki lub nieładu. To jest samobójstwo!

— Ale gdzie jest w takim razie broń? — wtrącił Pouget. — Śmierć nastąpiła natychmiast, więc pistolet musiałby albo znajdować się obok ciała, albo w ręku zabitego.

— Kto wie, czy ta kobieta nie zabrała broni!

— Dlaczego miałaby to uczynić? — rzekł szef policyi, czy dlatego, aby zwrócić podejrzenie na siebie? Nie! Kula przeszła przez prawo oko w mózg — jest to także dowodem, że zmarły nie odebrał sobie sam życia! Słyszeliście panowie już kiedy, aby się kto zabijał wystrzałem w oko?

— Ja, nie, — odrzekł lekarz.

— Nie! Mężczyzna strzela sobie w usta, w skroń, w serce, ale nie w oko! Tego nikt nie zdolny uczynić! Dlatego twierdzę, że to jest morderstwo.

Sędzia nie dawał się przekonać.

— A kto jest mordercą? — zapytał.

— Albo kobieta, albo ów Amerykanin.

— Tej zbrodni nie popełniła kobieta, — zauważył komisarz.

— A jeszcze mniej Amerykanin. Czy wróciłby po torebkę i płaszcz, gdyby był mordercą?

— Chercher la femme, — zauważył komisarz. — Przekonujecie się panowie sami, że wszystkie nasze rozmowy do jednego dochodzą rezultatu: musimy znaleść tę kobietę!

O pół do drugiej przybył Gibelin z oznajmieniem, że aresztował Amerykanina. Kildale oświadczył stanowczo, że nie powie nic o właścicielce płaszcza i torebki.

Zaledwie skończyło się badanie Ryszarda, gdy posłaniec jakiś przyniósł list dla pana Pougeta.

Komisarz przeczytał go i szepnął kilka słów szefowi policyi.

— Andrzej Coquenil? — zawołał pan Simon źdźiwiony. — Byłem przekonany, że on już w drodze do Brazylii. Każ go pan natychmiast wprowadzić.

Wszyscy obecni oprócz zachmurzonego Gibelina powitali sławnego detektywa bardzo serdecznie.

— Kochany przyjacielu! — zawołał pan Simon, ściskając jego rękę, — przypomina mi to dawne czasy! Pragnę gorąco, abyś należał jeszcze do nas! Obecna sprawa byłaby właściwie dobrą dla ciebie!

— I ja tak sądzę, — odrzekł agent z uśmiechem, — i dlatego proszę pana, abyś mnie znowu przyjął do służby.

— Ale masz przecież takie świetne stanowisko w Brazylii...

— Nie przyjmuję! — odparł agent spokojnie.

— Stanowisko z dożywotnią pensyą stutysięcy franków — i pan nie przyjmuje go? — zawołał pan Simon niezmiernie źdźiwiony. — Dlaczego?

Z jednej strony dla względów osobistych, z drugiej zaś, że pragnąłbym bardzo zająć się tą właśnie sprawą. Jestem pewny, że to jedna z najwięcej zajmujących spraw ostatnich lat dwudziestu.

Obecni spojrzeli na niego z uśmiechem niedowierzania, pan Simon jeden tylko spoważniał i rzekł:

— Z czego pan wnosisz, że to rzecz tak wielkiej wagi?

— Chwilowo nie wiem sam jeszcze, tak samo jak nie wiem, co mnie zniewoliło do jechania z Amerykaninem w jednej dorόżce, a nie w innej, za nim, — odpowiedział Coquenil, patrząc znacząco na Gibelina, który drżał z złości.

— Jakto, siedziałeś pan na koźle, obok dorożkarza? — spytał pan Simon.

— Ja sam byłem dorożkarzem, — roześmiał się Coquenil, — i dostałem dziesięć franków od mego szanownego kolegi! Pieniądze te schowam sobie na pamiątkę!

I wyjąwszy z kieszonki dziesięć franków w złocie, pokazał je szefowi.

— Znany i lichy dowcip! — mruknął Gibelin, nieposiadający się z gniewu.

— Ale użyteczny, — dokończył Coquenil uprzejmie. — Czy wolno zapytać, co panowie uważacie obecnie za najważniejsze i najkonieczniejsze w tej sprawie?

— Stwierdzenie nazwiska tej kobiety, — zawołał sędzia żywo.

— Mogę natychmiast powiedzieć nazwisko jej i adres mieszkania!

— Nie może być! — zawołali wszyscy prawie jednogłośnie.

— Dowiedziałem się tego sam, pomimo, że starano mi się rozmaitemi sposobami przeszkodzić, i wymienię nazwisko i adres pod pewnemi tylko warunkami, — mówił Coquenil spokojnie.

— Jakim sposobem dowiedziałeś się pan o tem?

— Obserwowałem Amerykanina przez okno dorόżki i widziałem, jak wycinał z torebki kawał skóry, na której wyciśnięte było nazwisko i adres tej kobiety.

Gibelin posiniał.

— I odebrałeś mu pan ten kawałek skóry?

— Nie, bo w takim razie byłby mój szanowny kolega wmieszał się do tej sprawy, a ja sam chciałem wszystko załatwić! Pozwoliłem więc Amerykaninowi wyciąć ową klapę i wyrzucić na ulicę — spamiętałem sobie miejsce, na którem się to stało, i wróciłem tam potem. Skóra leżała na środku ulicy. Miałem przy sobie elektryczną lampkę kieszonkową, znalazłem ją więc łatwo.

— Masz ją pan tutaj?

— Tak jest!

— Wolno mi ją zobaczyć?

— Naturalnie, jeżeli mi pan przyrzekniesz, że będziesz to uważał za moją osobistą własność.

— Dobrze, dobrze, — zawołał pan Simon niecierpliwie. Coquenil podał mu dwa kawałki białej skóry, i szef obejrzał je starannie.

— Bon Dieu! — rzekł, zwracając się do Gibelina, — i pan miałeś tę torebkę w rękach!

Gibelin stał z spuszczoną głową i milczał.

— A teraz — jakie pan stawiasz warunki? — spytał szef Coquenila.

— Właściwie mam jeden tylko — otóż proszę, abyś pan przyjął mnie natychmiast do służby, jako detektywa. W dziesięciu minutach możesz pan być automobilem u prefekta. Ja zaczekam tutaj.

— Bardzo panu, jak widzę, spiesznie, — uśmiechnął się szef, — ale i nam także. Niech więc tak będzie! Poproszę prefekta, aby cię znów przyjął i oddał ci tę sprawę. Jedź ze mną, panie Ville.

Coqenil został sam z Gibelinem. Podał mu cygaro, lecz Gibelin nie przyjął go oburzony i odwrócił się plecami do młodego agenta. Upokorzenie, jakiego dziś doznał, a jakie zawdzięczał Coquenilowi, doprowadzało go do takiej wściekłości, że w końcu, nie mogąc już dłużej panować nad sobą, krzyknął:

— Jeżeli panu oddadzą tę sprawę, to możesz liczyć na to, że spłatam ci figla, jaki popamiętasz przez całe życie twoje!

Po tych słowach wyszedł, trzasnąwszy drzwiami z całej siły.

Wkrótce potem wrócił pan Simon, a wyjaśniona jego twarz oznajmiała już zdaleka o pomyślej dla Coquenila wiadomości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)